

MOŻESZ CZYTAĆ, NIE WYCHODZĄC Z DOMU – WYDANIE SPECJALNE



Hit „Do Rzeczy”

10 najlepszych tekstów z 2014 r.

- Gmyz i Wybranowski o przecieku z Watykanu
- Płużański na tropie czerwonych bestii
- Lisicki o procesie Jezusa
- Kazik Staszewski szczerze o swym ojcu
- Cenckiewicz o kobietach płk. Kuklińskiego
- Rozmowa z Martą Kaczyńską
- Chazan: od abortera do obrońcy życia
- Sensacyjne wyznanie Marka Falenty
- Ziemkiewicz o Tusku imperatorze
- Niewińska na tropie sekty gender



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lista przebojów „Do Rzeczy”

Nikt nie mógł przewidzieć, że największym zagrożeniem, z którym zetknie się Polska, i nie tylko ona, będzie fala epidemii. Zdrowy rozsądek podpowiada, by również teraz zachować zimną krew. Publicyści, pisarze, dziennikarze tygodnika „Do Rzeczy” starają się w tym pomóc. W tej nowej sytuacji, w której tyłu naszych czytelników musi zostać w domu, postanowiliśmy przypominać Państwu zestaw najlepszych, naszym zdaniem, artykułów i tekstów. Będzie to swoista lista przebojów. Powiedzmy, redakcyjna lista przebojów – artykułów z „Do Rzeczy”. Czas spędzony w domu niech nie będzie czasem wolnym od refleksji i myślenia. ©

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



REKLAMA



Hity

„Do Rzeczy”

Wszystkie nasze oferty znajdziesz na prenumerata.dorzeczy.pl



„DO RZECZY”, WYDANIE SPECJALNE, CZĘŚĆ 2.
Hity „Do Rzeczy” z 2014 r.

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan,
Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Coś (Bruksela), Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański,
Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka,
Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska,
Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski,
Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski,
Błażej Torzański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wołski,
Jakub Wozniak, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**,
Anna M. Piotrowska, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**,
Jan Fiedorczuk, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),

Jakub Tański, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wójtowicz**,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krysztopa**

ISSN 2300-2034

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**



Cezary Gmyz
Wojciech Wybranowski

„Do Rzeczy” dotarło do informacji o tym, kto najprawdopodobniej powiadomił w 1981 r. PRL-owską bezpiekę o agencji CIA w Sztabie Generalnym WP. Ujawniamy również kulisy prokuratorskiego śledztwa i procesu, w którym skazano płk. Kuklińskiego na śmierć

HISTORIA

„Jack Strong” – przeciek z Watykanu

ILUSTRACJA: MGS, FOT. ANDRZEJ WANCZAK/REPORTER

Zarządzą poszukiwanie nadzwyczajne-ogólnokrajowe za zaginionym płk WP. Kukliński Ryszard – Jerzy syn Stanisława i Anny Kotaniec, ur. 13.06.1930 w Warszawie [...].

Cechy zewnętrzne: wzrost około 167 cm, twarz pociągła, włosy ciemnoblonde, czesane lekko na bok, chód kołyszący, sylwetka lekko pochylona do przodu. [...] Wymieniony w dniu 7 XI 1981 około godziny 13.00 wyjechał z miejsca zamieszkania prywatnym samochodem marki »Opel Record« nr rej WAA-3804, koloru jasnoniebieskiego – w nieznanym kierunku i ślad po nim zaginął [pisownia oryginalna – przyp. red.]”.

Telefonogram nr 1144/81 o takiej treści z dopiskiem „bardzo pilne”, opatrzone kryptonimami: Refren, Pismo, Centrala, Samowar, Starosta, Turkus-699, w dniu 10 listopada 1981 r. przygotowało Biuro Kryminalne Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej w Warszawie. Kilka godzin później podobne pismo trafiło do komend wojewódzkich MO i Zarządu II Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej (czyli kontrwywiadu wojskowego PRL).

Tak zaczynają się zakrojone na szeroką skalę poszukiwania „Jacka Stronga” – szpiega, który ograł komunistyczny wywiad, przekazując CIA sowieckie dokumenty na temat planów wojennych ZSRS, struktury organizacyjnej Układu Warszawskiego, struktury sił zbrojnych i frontów na wypadek konfrontacji z Zachodem. Poszukiwania zakończyły się procesem i wyrokiem zaocznie skazującym płk. Kuklińskiego na śmierć.

Tygodnik „Do Rzeczy” dotarł do – w wielu przypadkach dotąd nieznanych – dokumentów WSW, MO, a także akt prokuratorskich i sądowych z lat 80., zgromadzonych przez IPN. Ujawniamy rolę, jaką w całej sprawie najprawdopodobniej odegrał ulokowany w Watykanie PRL-owski agent posługujący się pseudonimami Lamos i Latynos, a także kulisy kuriozalnego procesu sądowego, w którym sędzia płk Władysław Monarcha wydał wyrok śmierci.

WATYKAŃSKI PRZECIEK

Do zdarzenia, które decydowało o losach Kuklińskiego, doszło 2 listopada 1981 r. To wtedy podczas narady ścisłego kierownictwa Sztabu Generalnego WP generał dywizji Jerzy Skalski, zastępca szefa sztabu, poinformował, że CIA zdobyła najnowszą wersję planów wprowadzenia stanu wojennego w Polsce.

A to oznaczało, że kontrwywiad wojskowy PRL już wie, iż jeden z członków sztabu

współpracuje z amerykańskim wywiadem. To przyspieszyło decyzję płk. Kuklińskiego o ucieczce. W nocy z 7 na 8 listopada 1981 r. szef rezydentury CIA w Warszawie Tom Ryan wywiózł go wraz z rodziną ze stolicy. Skąd służył PRL dowiedziały się o „krecie” w Sztabie Generalnym?

Jak ustalił tygodnik „Do Rzeczy”, taka informacja do polskiej bezpieki dotarła z Rzymu. Potwierdzają to też inne źródła, m.in. gen. Franciszek Puchała. Dziennikarskie śledztwo wskazuje, że taki meldunek najprawdopodobniej przekazał kontrwywiadowi PRL agent posługujący się dwoma pseudonimami: Latynos i Lamos. Ustaliśmy również prawdopodobną drogę przecieku z Watykanu.

W drugiej połowie października 1981 r. informację o planach wprowadzenia stanu wojennego przekazał Janowi Pawłowi II sam szef Centralnej Agencji Wywiadowczej William „Bill” Casey. Należał on do grupy najgorliwszych katolików w administracji Reagana i zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie mógł przynieść w walce z komunizmem pontyfikat Polaka zza żelaznej kurtyny – Jana Pawła II. Był blisko zaprzyjaźniony z delegatem apostolskim papieża, a późniejszym pronuncjuszem apostolskim w USA biskupem (później kardynałem) Pio Laghim. Szef CIA od początku ściśle współpracował z placówką Watykanu w Waszyngtonie. Mimo przyjaźni z Laghim Casey nie zdecydował się na przekazanie informacji o planach wprowadzenia stanu wojennego drogą dyplomatyczną. Uznał, że sprawa ma tak doniosłe znaczenie i wymaga pełnej ochrony źródła, jakim był Kukliński, iż musi papieża poinformować o tym osobiście. Z tego powodu zdecydował się udać do Rzymu z tajną misją.

Jak wynika z ustaleń „Do Rzeczy”, o podróży Caseya wywiad PRL był doskonale poinformowany. CIA nie miała bowiem pojęcia, że w otoczeniu Jana Pawła II mógł działać wpływowy agent polskiej bezpieki o pseudonimach Lamos i Latynos.

– O misji Caseya w Watykanie dowiedzieliśmy się niemal od razu, jeszcze w październiku 1981 r. – mówi „Do Rzeczy” funkcjonariusz wywiadu PRL Edward Kotowski ps. Pietro.

Z ramienia rzymskiej rezydentury Departamentu I o kryptonimie Baszta odpowiadał on za inwigilację Stolicy Apostolskiej, której SB nadała kryptonim Morbo (po włosku: zaraza, choroba). Oficjalnie był zatrudniony w ambasadzie PRL jako pracownik Samodzielnej Sekcji ds. Kontaktów ze Stolicą Apostolską. Kotowski nie był wtajemniczony w szczegóły wizyty Caseya. Dlaczego? Agent „Lamos” był tak cenny, że

przewodzili go osobiście kolejni szefowie rezydentury.

W październiku 1981 r. na czele „Baszty” stał płk Jerzy Porowski posługujący się pseudonimem Bralski. Dzisiaj mieszka w wieżowcu na warszawskiej Ochocie. To prawdopodobnie właśnie on przekazał centrali wywiadu w Warszawie informacje na temat spotkania Caseya z Janem Pawłem II. Źródłem tej wiedzy był najpewniej „Lamos”. Niestety, Porowski nie zgodził się na rozmowę z dziennikarzem „Do Rzeczy”.

– Nie mam ochoty na rozmowę – oświadczył i odwieził słuchawkę domofonu.

KIM BYŁA WTYKA?

W jaki sposób „Lamos” mógł wejść w posiadanie wiedzy o informacjach, jakie przekazał Casey Janowi Pawłowi II?

– Jan Paweł II mówił dobrze kilkoma językami, najlepiej po włosku. Władał również angielskim. W spotkaniach oficjalnych, tak ze względów protokołowych, a także i innych, korzystał z pomocy tłumacza. Nie wyobrażam sobie, aby podczas spotkania z szefem CIA, niezależnie od stopnia znajomości języka angielskiego, papież prowadził rozmowy bez zaufanego świadka, który pełnił też rolę tłumacza. Chodzi o to, aby szef służby specjalnej, w przyszłości, w swoich pamiętnikach, nie włożył w usta swojego rozmówcy czegoś, czego ten nie powiedział. Jak wiadomo, ta dbałość o prawdziwy wizerunek papieża wynika z wyjątkowej pozycji, jaką papieństwo zajmuje w historii ludzkości, a często szefowie służb specjalnych wspominają swoje spotkania po latach z nadininterpretacją. Dodam, że w tak delikatnej sprawie, jaką była rozmowa z szefem CIA, i to w sprawach polskich, takim zaufanym tłumaczem mógł być tylko polski duchowny zatrudniony w najbliższym otoczeniu papieża – mówi Edward Kotowski. Dodaje, że sam był świadkiem, jak „Lamos” tłumaczył papieżowi z angielskiego.

Niestety, teczka agenta została zniszczona. Zachował się protokół jej zniszczenia datowany na 4 stycznia 1990 r. Decyzję o zniszczeniu akt zatwierdził zastępca szefa wywiadu PRL płk Bronisław Zych. Zniszczyło ją trzech pracowników Wydziału III z tzw. sekcji watykańskiej. Z protokołu zniszczenia wynika, że „Lamos” w dzienniku rejestracyjnym miał numer 9186. Z zapisu tego dziennika wynika zaś, że „Lamos” (kryptonim Latynos został przekreślony) został zarejestrowany w kategorii RO, czyli rozpracowanie operacyjne, 23 września 1971 r.

Może to sprawiać mylne wrażenie, że „Lamos” był rozpracowywany. Jednak to właśnie w tej kategorii rejestrowano najwyższy szczebel osobowych źródeł

nr sprawy	KRYPTONIA	ROZDAJ SPRAWY	Data przekazywania	Wydział i nazwisko przeznaczonej na wykonanie sprawy	Data przekazania do archiwu	Nr archiwu	Wzrost i inne dane osobiste (przebieg choroby, sprawy do archiwu)	Uwagi
9179	LECHO	Podat. prac. wyprzedzający	6. WRZE 1971	Stimp. Kier. Ancewca	2.0. WRZE 1971		Wzrost 1,72. Ciężkość ciała 70 kg. Ciężkość serca 1,2 kg. Ciężkość płuc 1,2 kg. Ciężkość wątroby 1,2 kg. Ciężkość nerek 1,2 kg. Ciężkość pęcherzyka żółciowego 1,2 kg. Ciężkość trzustki 1,2 kg. Ciężkość śledziony 1,2 kg. Ciężkość wątroby 1,2 kg. Ciężkość nerek 1,2 kg. Ciężkość pęcherzyka żółciowego 1,2 kg. Ciężkość trzustki 1,2 kg. Ciężkość śledziony 1,2 kg.	
9180	SEZAM	Tenka prac. zastępcy	3. WRZE 1971	W. Ukłaja				
9181	SOŁSKI	Kont. inform. operac.	2.0. WRZE 1971	VII Rysiniński	2.0. WRZE 1971	7484	Wzrost 1,72. Ciężkość ciała 70 kg. Ciężkość serca 1,2 kg. Ciężkość płuc 1,2 kg. Ciężkość wątroby 1,2 kg. Ciężkość nerek 1,2 kg. Ciężkość pęcherzyka żółciowego 1,2 kg. Ciężkość trzustki 1,2 kg. Ciężkość śledziony 1,2 kg.	
9182	ERCOLE	Ewid. obsere.	2.0. WRZE 1971	III Dębowski	1. WRZE 1971			
9183	PUCZ BOBER	Rozpr. operac.	2.0. WRZE 1971	III Straszewski	25. I 1980	7-7033		
9184	SETKA	L. K.	2.0. WRZE 1971	II Sawicki	1.0. MAR 1979	7-6778		
9185	WEST	Kont. inform. operac.	2.0. WRZE 1971	V Ławieński	1989. LIP 1. 6.			
9186	LATYBAS LAMOS	Rozpr. operac.	2.0. WRZE 1971	VI Pirowski				
9187	OLI	Kont. inform. operac.	WRZE 1971	III Pelechiński	1.0. WRZE 1974			
9188	FAMAR	Rozpr. operac.	0.0. WRZE 1971	I Leszczyński	1990. 01. 2. 9.	12374		
9189	GIRO	Ewid. obsere.	1.0. MAR 1971	III Dębowski	2.0. WRZE 1971			
9190	WRZOSKO	Tenka prac. zastępcy	5.0. WRZE 1971	VI Rudański	11.0. WRZE 1971			

Zapis z dziennika rejestracyjnego Departamentu I dotyczący rejestracji agenta „Lamosa” w kategorii „rozpracowanie operacyjne” Fot. IPN

informacji w Departamencie I, jakim był agent. Po pozyskaniu dla lepszej konspiracji nie zmieniano zapisów dziennika rejestracyjnego. Skąd zatem wiemy, że „Lamos” został pozyskany do współpracy? Wątpliwości nie pozostawiają inne dokumenty. W ocalałych spisach agentury rezydentury rzymskiej „Lamos” występuje w kategorii agent. Chociaż jego teczka została zniszczona, część kopii donosów ocalała w tzw. materiałach informacyjnych Departamentu I, sporządzanych przez wydział analityczny, który przygotowywał informacje dla najważniejszych osób w PRL, tzw. KPR, czyli kierownictwa partyjno-rządowego. Udało się z tego wyodrębnić prawie 300 stron meldunków sygnowanych jako pochodzące od agenta „Lamosa”. Nie pozostawiają one wątpliwości, że był on jednym z najcenniejszych agentów bezpieki.

W trakcie dziennikarskiego śledztwa odnaleźliśmy w IPN dokumenty wskazujące na tożsamość „Lamosa”. Nie ujawniamy ich jednak, ponieważ na razie nie udało nam się z nim niestety skontaktować.

O sprawę „Lamosa” pytaliśmy w ubiegłym roku najbliższego współpracownika Jana Pawła II – kard. Stanisława Dziwisza.

– Nie wierzę, żeby mógł zdradzić. To bardzo uczciwy człowiek – powiedział kard. Dziwisz.

Ostatnim prowadzącym „Lamosa” był płk Aleksander Makowski, szef „Baszty” do 1990 r. 17 stycznia 1990 r. dostał on polecenie z centrali rozwiązania sieci agenturalnej szpiegującej Watykan. Wśród osób, z którymi miano zerwać współpracę, wymieniono „Lamosa”. Równocześnie w centrali wycofano jego dokumenty z ewidencji.

PROKURATURA BEZ DOWODÓW

Dopiero zaginięcie Kuklińskiego dało bezpiece asumpt do podejrzeń, że amerykańskim szpiegiem jest Kukliński. Jednak – jak wynika z materiałami, do których dotarliśmy – uprawdopodobniły się one dopiero w styczniu 1982 r., kiedy to dziennik „The Washington Post” opublikował krótką notkę „CIA Reported »Overhelmed« by Ranking Polish Defectors” o tym, że kilka tygodni przed wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego do CIA zgłosił się, prosząc o azyl, „polski generał wysokiej rangi” wraz z rodziną. Gazeta informowała, że w trakcie przesłuchań „generał przedstawiał rzeczowo, co nowy polski reżim zamierza zrobić”.

Nas zainteresowały działania Naczelnej Prokuratury Wojskowej, która przygotowywała się do postawienia – zaocznie – zarzutów płk. Ryszardowi Kuklińskiemu.

Jak wynika z materiałów, do których dotarliśmy, NPW długi czas nie była w sta-

nie zebrać żadnych dowodów przeciw płk. Kuklińskiemu. A konkretnie – nie była w stanie przekazać go śledczym wojskowa bezpieki. Sytuacja śledztwa była tak fatalna, że 6 grudnia 1982 r. NPW zawiesiła postępowanie karne. W uzasadnieniu decyzji śledczy napisali, że mimo „intensywnie prowadzonych poszukiwań i dodatkowych sprawdzeń nie zdołano ustalić losów podejrzanego i jego najbliższej rodziny”.

17 października 1983 r. w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej zapadła jednak decyzja o podjęciu postępowania i skierowaniu sprawy do rozpoznania przez sąd.

Jednak – jak ustaliło „Do Rzeczy” – pierwszy materiał dowodowy prokuratura zdobyła dopiero 23 lutego 1984 r., czyli ponad dwa lata po ucieczce Kuklińskiego.

Tego dnia płk Mieczysław Figura, szef Zarządu I WSW, przekazał Naczelnej Prokuraturze Wojskowej w piśmie (CA-0738/84) opatrzonym klauzulą „tajne” informacje o ustaleniach operacyjnych dotyczących ucieczki rodziny płk. Kuklińskiego i miejsca jej pobytu. Nie ma ich wiele, informacje Figury zmieściły się zaledwie na dwóch stronach A4.

„Aktualnie przebywają w Ośrodku CIA Wirginia znajdującym się na przedmieściach Waszyngtonu” – informował płk Figura. Dodał też, że „pułkownik

Kukliński w czasie przesłuchań przez funkcjonariuszy służb wywiadowczych USA ujawnił, znane mu, z tytułu pełnienia służby w Sztabie Generalnym WP, dane dotyczące obronności i bezpieczeństwa PRL.

9 kwietnia 1984 r. doszło do pierwszego posiedzenia Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Orzeczenie było miażdżące: „Uzasadnienie aktu oskarżenia opiera się przede wszystkim na treści pisma Szefostwa Wojskowej Służby Wewnętrznej z 23 lutego [...]. Dowodem takim nie może być tylko notatka lub ogólnikowe w treści pismo” – wytknął. Co więcej, sąd nie ukrywał wątpliwości co do sprawy, stwierdzając, że akt oskarżenia „zresztą jest ogólnikowy i nie zawiera wskazań, na jakich dowodach akt oskarżenia został zbudowany”.

Wydawać by się mogło, że przy takiej ocenie powinna zapaść decyzja o umorzeniu postępowania z braku dowodów. Przewodniczący składu sędziowskiego płk Władysław Monarcha zdecydował jednak o odesłaniu akt do prokuratury w celu ich uzupełnienia. Półtora miesiąca później, choć wciąż prokuratura nie była w stanie udowodnić winy płk. Kuklińskiego, zapadł wyrok śmierci. Co się stało w tym czasie?

– Przesłuchano kilku świadków, którzy praktycznie nic nie wiedzieli. Mam wrażenie, że komunistyczne władze informację o płk. Kuklińskim czerpały głównie z zachodniej prasy – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy” Jacek Taylor, prawnik, który w 1995 r. wspólnie z adwokatami Piotrem Dewińskim i Krzysztofem Piesiewiczem doprowadzili do rewizji procesu oraz w konsekwencji do uchylenia wyroku skazującego Kuklińskiego.

PROCES KURIOZUM

W dniu 11 kwietnia 1984 r. ppłk Piotr Daniuk, wiceprokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej, przesłuchał

ppłk. Benedykta Jędrzejewskiego (w niektórych dokumentach występuje jako Jędrzejowski), wiceszefa Oddziału Zarządu I WSW w Warszawie. W 1980 r. został on wyznaczony do kontrwywiadowczej ochrony pionu operacyjnego i organizacyjno-mobilizacyjnego Sztabu Generalnego WP. To jego zeznania przede wszystkim pomogły w skazaniu Kuklińskiego.

Jak wynika z protokołu przesłuchania (PnŚI 4/94), do którego dotarliśmy, Jędrzejewski zeznawał w prokuraturze 3,5 godziny. Opowiadał, że to on określił, jak Kukliński uciekł z Polski i dlaczego. Opisał, jak wyglądała operacja przerzutu Kuklińskiego i jego rodziny za granicę. „Powyższe ustaliłem, studiując dokumentację polskich sił specjalnych w USA. Z meldunków tych wynika również, iż płk Kukliński po przewiezieniu do USA w czasie przesłuchań przez funkcjonariuszy wywiadu Stanów Zjednoczonych ujawnił znane mu z tytułu pełnienia stanowiska w Szt. Gen. WP [nieczytelne – przyp. red.] informacje dotyczące obronności i bezpieczeństwa [...]” – mówił Jędrzejewski. Stanowczo podkreślał, że WSW zdobyła szczegółowe informacje wskazujące, iż Kukliński zdradził. Jednak podania jakichkolwiek konkretów potwierdzających prawdziwość swoich słów odmówił. „Z uwagi na bezpieczeństwo osób wykonujących zadania wywiadowcze na rzecz PRL nie mogę podać bliższych szczegółów” – zeznał.

Prokuraturze jednak to wystarczyło. Oto fragment przygotowanego przez ppłk. Daniuka aktu oskarżenia: „Informacje przekazywane przez polski wywiad są szczegółowe [...]. Z ich treści wynika jednoznacznie, iż pułkownik Kukliński dopuścił się zarówno dezercji za granicę, jak i zdrady Ojczyzny”.

Do rozprawy doszło 4 maja 1984 r. Skład sędziowski wybrano szczególnie

ważnie. Rozprawie przewodniczył sędzia płk Władysław Monarcha. Był człowiekiem zasłużonym we wspieraniu władzy ludowej, przewodniczył m.in. składowi sędziowskiemu, który w sierpniu 1982 r. skazał na karę sześciu lat więzienia ks. Sylwestra Zycha za „próbę obalenia siłą ustroju PRL i przynależność do organizacji zbrojnej”.

Obok niego w charakterze ławników zasiadli: płk Henryk Urbanowicz, płk Jan Pałka, płk Jerzy Dzierżak, płk Bogdan Magiera. Oskarżycielem był prok. ppłk Piotr Daniuk, również mający na koncie wiele procesów z okresu stanu wojennego. Obrońcą sądzonego zaocznie płk. Kuklińskiego został z urzędu warszawski adwokat Wacław Szulc.

Na świadków oskarżenia prokuratura wezwała cztery osoby. Obok ppłk. Benedykta Jędrzejewskiego i gen. Wacława Szklarskiego, szefa Zarządu I Operacyjnego Sztabu Generalnego, znaleźli się Czesław Jakubowski i Kazimierz Gromek. Wiele wskazuje na to, że wezwano ich wyłącznie po to, by przekonać sąd, iż w sprawie przy braku materiałów dowodowych jest wielu świadków. Dlaczego? Ponieważ ani Jakubowski, ani Gromek nie mieli wiele do powiedzenia. Pierwszy to 62-letni wówczas emeryt, który poznał Kuklińskiego w czasie olimpiady w RFN. Brała w niej udział jego córka Barbara Jakubowska, żeglarka. Jednak zeznania, jakie Jakubowski złożył przed sądem, to w sporej części wywody na temat romansu Kuklińskiego z jego córką. Przydatna dla późniejszego uzasadnienia wyroku skazującego Kuklińskiego okazała się opowieść Jakubowskiego o ostatnim spotkaniu z nim 2 lub 3 listopada 1981 r. „Zostawił mi jedną kartkę na żywność i tego psa. Powiedział, że wyjeżdża na rok lub trzy lata. Rozpłakał się, czego nigdy przedtem nie widziałem u niego” – zeznawał świadek.

REKLAMA

KSIEGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

www.ksiegarniadorzeczy.pl

Premiera w najlepszej cenie



32,00 zł
27,00 zł

Równie nieistotne były zeznania Kazimierza Gromka, również emeryta, którego cały związek ze sprawą polegał na tym, że był z wizytą u Jakubowskiego w chwili, gdy Kukliński zostawiał tamtemu swojego psa (sic!). Z kolei gen. Wacław Szklarski dość szeroko określił kompetencje Kuklińskiego i zakres informacji dotyczących obronności PRL, jakie posiadał. Jednak z protokołu rozprawy wynika dość jednoznacznie, że wciąż jedynym dowodem, jaki była w stanie przedstawić prokuratura przeciw Kuklińskiemu, były zeznania Jędrzejewskiego. Sam sąd też wciąż miał wątpliwości.

SĄD: WYROK BEZ DOWODÓW

„Do Rzeczy” dotarło do opatrzonego klauzulą „tajne” pisma, jakie sąd tuż po zakończeniu rozprawy skierował do Sekretariatu Komitetu Obrony Kraju. To powołany w 1959 r. organ Rady Ministrów PRL ds. obronności miał uprawnienia do bieżącej koordynacji i nadzorowania realizacji zadań obronnych przez inne organy państwowe.

„Istotnym dla rozpoznania sprawy jest m.in. ustalenie, czy przed dniem 7 XI 1981 r. (ostatni dzień, gdy był widziany na terenie Sztabu Generalnego) płk Ryszard Kukliński współpracował z CIA. W tym przedmiocie brak jest dowodów w sprawie” – alarmował w piśmie przewodniczący składu sędziowskiego.

Do kolejnej rozprawy doszło 23 maja 1984 r. Dysponujący już opinią KOK, która miała wskazywać na współpracę z CIA, sąd wezwał na świadka płk. Franciszka Puchałę, wówczas wiceszefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego. Ten przed sądem zaznaczał, że Kuklińskiego zna bardzo słabo.

„Komórka, w której pracował oskarżony, pracuje na kierunku Zjednoczonych Sił

Zbrojnych i Kukliński z tytułu wykonywanych obowiązków mógł mieć dostęp do szerokiego zakresu informacji, ale też nie do wszystkich [...]. Miał niezbyt szeroki dostęp do informacji związanych z wprowadzeniem stanu wojennego, ale brał udział w zebraniach i odprawach, otrzymywał zadania, o których ja nie wiedziałem” – zeznał Puchała. Jednak on też nie był w stanie potwierdzić, że informacje przekazywane przez zachodnie media, m.in. „Newsweek”, mogły pochodzić od Kuklińskiego.

Dzisiaj Franciszek Puchała cieszy się stopniem generała dywizji. Ten planista stanu wojennego jest członkiem Klubu Generałów, który założyli byli wojskowi dygnitarze z czasów PRL. Dwa lata temu opublikował tekst, w którym sugerował, że Kukliński mógł być agentem GRU.

Jednak o procesie, w którym zeznał, gen. Puchała nie chce mówić. Kiedy w krótkiej rozmowie telefonicznej pytamy go o to, bardzo się denerwuje.

– Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Byłem jednym ze świadków. I co z tego? Proszę zobaczyć uzasadnienie wyroku. Ja nikogo nie skazywałem – mówi Puchała. I przerywa połączenie.

23 maja 1984 r. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego uwzględnił wniosek prok. płk. Piotra Daniuka i – mimo braku dowodów – skazał zaocznie płk. Ryszarda Kuklińskiego na śmierć za „zdradę Ojczyzny”. W uzasadnieniu wyroku sąd powołał się głównie na zeznania świadków: Jędrzejewskiego i Nowakowskiego. Kilkakrotnie jednak wskazał też, że za ważne uznał elementy zeznań Szklarskiego i Puchały.

Uderza, że podczas całej rozprawy – jak wynika z protokołu – mający reprezentować Kuklińskiego mec. Wacław Szulc nie zadawał świadkom żadnych pytań. Nie

próbował kwestionować ich zeznań. Nie składał żadnych wniosków dowodowych. Dopiero w mowach końcowych poprosił sąd, by skazując Kuklińskiego, nie wymierzał kary śmierci. Za jego pomoc prawną sąd przyznał mu kwotę w wysokości 1,2 tys. ówczesnych złotych polskich.

Mecenas Szulc popełnił też karygodny błąd. Nie zaskarżył wyroku skazującego Kuklińskiego, choć zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami w sprawach, w których zapadał najwyższy wyrok, adwokat miał obowiązek to zrobić. Niezłożenie apelacji zaowocowało uprawnieniem wyroku skazującego. Wacław Szulc dziś już nie żyje. Zmarł najprawdopodobniej pod koniec lat 80.

Żyje natomiast sędzia Władysław Monarcha, przewodniczący składu sędziowskiego, który skazał Kuklińskiego na śmierć. Mieszka w Szczecinie. Jednak o sprawie nie chce rozmawiać.

Kiedy zadzwoniliśmy do niego we wtorek wieczorem, odłożył słuchawkę. Dzień później telefon odebrała kobieta. Na prośbę o kontakt zareagowała histerycznie.

– Proszę dać nam spokój, zostawcie nas! – wykrzyknęła i przerwała połączenie. Potem nikt już nie odbierał telefonu.

Prokurator Piotr Daniuk jeszcze w 1997 r. w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” przekonywał, że miał powody, by żądać kary śmierci dla Kuklińskiego. Mówił, że zrobiłby to jeszcze raz. Daniuk odszedł do rezerwy w 2001 r. Nie udało nam się ustalić jego adresu.

Mecenas Piotr Dewiński, który w latach 90. wspólnie z Taylorem i Piesiewiczem reprezentował Kuklińskiego przy rewizji jego procesu, nie ma wątpliwości.

– Okoliczności procesu, sam fakt, że odbył się on w 1984 r., a więc tak

REKLAMA

KSIEGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

www.ksiegarniadorzeczy.pl

Do każdego zamówienia **prezent**

miesięczna e-prenumerata tygodnika,
a także książka przy zakupie powyżej 49,90 zł*



*Przy dokonaniu rejestracji w sklepie. Oferta ważna do 16 lutego 2014.

naprawdę dopiero trzy lata po ucieczce płk. Kuklińskiego, wskazują, że była to bardziej decyzją polityczną niż prawną – mówi Dewiński.

Jak bardzo władzom PRL zależało na skazaniu Kuklińskiego, może wskazywać to, że 23 sierpnia 1984 r. prokurator generalny PRL wystosował pismo do Rady Państwa z wnioskiem o „nieskorzystanie z prawa łaski w stosunku do wymienionego”. Tak też się stało.

Dlaczego kierownictwo Zarządu I WSW nie przekazało Naczelnej Prokuraturze Wojskowej bezpośrednich dowodów, jakimi ponoć kontrwywiad dysponował, a które wskazywałyby na skalę „zdrady” płk. Kuklińskiego? Dlaczego opierało się na enigmatycznych sugestiach co do „szczegółowych meldunków”? Dlaczego ppłk Piotr Daniuk zadowolony był podczas przesłuchania Jędrzejewskiego jego wyjaśnieniem, że ze względu na bezpieczeństwo osób prowadzących operacje wywiadowcze nie może podać żadnych szczegółów? Z pewnością z jednej strony obawiano się, że z sądu niezależnie od utajnienia rozprawy mogą wyciec informacje na temat agentury, które mogłyby wskazywać na „Lamosa”.

Z drugiej strony niewątpliwie władze PRL obawiały się skali kompromitacji, gdyby na jaw wyszedł pełen zakres informacji, które Amerykanom przekazał Kukliński. Oficerowie WSW zeznający przed sądem umniejszali wiedzę i obowiązki pułkownika. Tymczasem już 28 grudnia 1981 r. gen. Wacław Szklarski na żądanie zastępcy Szefa Zarządu II WSW przesłał mu odpis zakresu obowiązków płk. Kuklińskiego oraz wykonywanych przezeń zadań związanych z sytuacją polityczną Polski. W dokumencie wskazano między innymi, że Kukliński miał dostęp do: planów osiągnięcia wyższych



Spotkanie dowódców wojsk Układu Warszawskiego. Drugi od lewej stoi płk Ryszard Kukliński. FOT. EAST NEWS

stanów gotowości bojowej, przedsięwzięć dokonywanych w siłach zbrojnych na wypadek wzrostu zagrożenia państwa, węzłowych założeń obronnych PRL, perspektywicznego planu rozwoju sił zbrojnych PRL czy pięcioletniego planu operacyjnego przygotowania terytorium kraju. Wreszcie – co najważniejsze – miał pełen dostęp do projektów planów działania MON i MSW oraz resortów gospodarczych na wypadek wprowadzenia stanu wojennego.

GDULA PISZE EPILOG

Początek czerwca 1986 r. Zapowiada się kolejne gorące lato. Dla komunistycznych władz PRL również politycznie. Przeciaki do zachodnich mediów o Ryszardzie Kuklińskim sprawiają, że wstydliwie skrywana przez PRL-owskie władze sprawa człowieka, który – by ratować własny kraj – zdradził komunistycznego okupanta, staje się niemal publiczną.

W takich okolicznościach 13 czerwca 1986 r. Andrzej Gdula, wówczas podsekretarz stanu w MSW, później w wolnej już Polsce szef zespołu doradców prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, wysy-

ła do dyrektorów departamentów i biur MSW materiał zatytułowany „Instrukcja do propagandowego wykorzystania”. Streszcza w nim, jak to 9 listopada 1981 r. Ryszard Kukliński nie zgłosił się do pracy i jakie czynności poszukiwawcze w Warszawie oraz Wałbrzychu, gdzie mieszkali krewni jego żony, podjęły służby specjalne. A kilka zdań później daje czytelny sygnał: „Jednocześnie ustalono, że Kukliński wszedł we współpracę z CIA przede wszystkim z pobudek materialnych. Był zachłanny na pieniądze”.

Komunistyczna, propagandowa agitka sprowadzająca płk. Kuklińskiego do roli pazernego sprzedawcy funkcjonuje do dziś, najczęściej powielana przez takich funkcjonariuszy służb jak gen. Gromosław Czemiński, którzy do końca wiernie służyli komunistycznemu systemowi.

– Takie tezy, chwytliwe opowieści się pojawiały, ale nigdy nie przedstawiono żadnych dowodów. Rozmawiałem na ten temat ze Zbigniewem Brzezińskim, powiedział mi, że Kukliński nigdy nie brał od CIA żadnych pieniędzy – komentuje mec. Jacek Taylor. •

REKLAMA

WYBIERAMY

RECENZUJEMY

REKOMENDUJEMY

1



2



3



4



5



TOP 5

Zbrodniarze, którzy



Tadeusz M. Płuzański

Stalinowscy sędziowie i prokuratorzy nigdy nie odpowiedzieli za zbrodnie przeciwko polskim patriotom. Na straży ich bezpieczeństwa stanęła III RP. Próba ich rozliczenia była podważaniem ładu Polski Okrągłego Stołu, nie mogła więc zakończyć się sukcesem

Od 1989 r. można mówić o żołnierzach wyklętych, których ze względu na postawę trzeba nazywać niezłomnymi. Niewielu badaczy zajmuje się natomiast ich oprawcami. Ci zbrodniarze – czy to śledczy stosujący bezpośredni terror, czy sędziowie i prokuratorzy, mordercy sądowi – są nadal pod ochroną. Nie ponieśli żadnej kary. O abolicji dla komunistycznych zbrodniarzy przesądzono pod koniec lat 80. ubiegłego wieku przy Okrągłym Stole i w Magdalence.

Niektórym III RP stawia zarzuty. Pojawiły się one dopiero, gdy powstał Instytut Pamięci Narodowej. To placówka, która jako pierwsza ustanowiła przepisy o zbrodni komunistycznej. IPN nie ograniczył tych zbrodni wyłącznie do UB i Informacji Wojskowej, ale stwierdził,

że zbrodniami są również sędziowie i prokuratorzy. To jest właśnie pojęcie morderstwa sądowego. I dziś owi mordercy są przez IPN ścigani. Jednak akty oskarżenia trafiają potem do polskich sądów, gdzie ci mordercy są uniewinniani ze „względów humanitarnych” – wiek czy stan zdrowia. I efekt jest taki, że żaden z nich po 1989 r. nie został skazany.

A przecież oni z premedytacją, z pobudek politycznych eliminowali polskich patriotów. Jeżeli dzisiaj odkrywamy na „Łączce” cmentarza na Powązkach Wojskowych w Warszawie szczątki zamordowanych żołnierzów wyklętych, to można sobie łatwo odtworzyć cały łańcuch zbrodni. Tych, którzy znęcali się w śledztwie, tych, którzy oskarżali i skazywali, w końcu tych, którzy strzelali w tył głowy. I tak w kwaterze „Ł” możemy znaleźć na przykład ofiary stalinowskiego sędziego wojskowego Stefana Michnika, przyrodniego brata Adama Michnika, redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”. Stefan Michnik żyje spokojnie w Szwecji, która stwierdziła, że nie wyda go Polsce, bo jego czyny miały ulec przedawnieniu.

Prokurator Czesław Łapiński powiedział mi, że żądał kary śmierci dla Pileckiego i mojego ojca, bo miał rodzinę, dzieci, musiał ich utrzymać. Odpowiedziałem mu: „Pilecki też miał rodzinę, dzieci, też chciał »normalnie« żyć, tylko jako wolny człowiek w niepodległej Polsce. A różnica między wami polega na wyborze świata wartości. Pan wybrał służbę okupantowi, a Pilecki walkę o wolną Polskę. Konsekwencją pierwszego wyboru było wygodne życie, konsekwencją drugiego – więzienie i śmierć. Jednak to

Pilecki wygrał ten bój, jemu będziemy stawiać pomniki. Jego imieniem będziemy nazywać ronda i ulice. A pan, panie prokuratorze, umrze jako kolaborant i zaprzaniec”. I to się sprawdziło. Pułkownik Czesław Łapiński nie został osądzony za swoje zbrodnie, jedyną „przykrość”, jaka go spotkała, to fakt, że zmarł w szpitalu przy ulicy rtm. Pileckiego. Można powiedzieć – taki chichot historii.

Aby kaci nie pozostali zapomniani przedstawiamy tych najkrwawszych.



KSIĄŻKA TADEUSZA M. PŁUZAŃSKIEGO „LISTA OPRAWCÓW” UKAŻE SIĘ W KWIEŃNIU
NAKŁADEM WYDAWNICTWA FRONDA



uniknęli kary



im. C. Epsteina w Wilnie i w żydowskim seminarium nauczycielskim.

Od 1927 r. działała w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom (MOPR), a od 1931 r. należała do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. W październiku tego roku została skazana na dwa tygodnie więzienia za działalność komunistyczną. Od 1932 r. była funkcjonariuszem partyjnym (tzw. funkiem – etatowym działaczem partii), pełniąc funkcję sekretarza propagandy i agitacji Komitetu Obwodowego KPZU we Lwowie, w Przemyślu i Drohobyczu. Za działalność w zdelegalizowanych



strukturach komunistycznych trafiła znów do więzienia.

Antypolską działalność rozwinęła po sowieckiej agresji na II RP we wrześniu 1939 r. Przyjęła obywatelstwo sowieckie, pracując w Radzie Związków Zawodowych we Lwowie oraz jako sekretarz Komitetu Obwodowego MOPR. W 1940 r. została „członkiem wszechzwiązkowym” KC MOPR. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej zbiegła do Charkowa, a następnie do Samarkandy. W latach 1943–1944 była w Zarządzie Głównym Związku Patriotów Polskich.

W bezpiece, będąc jednocześnie członkiem PPR, „Luna” zaczęła pracować w grudniu 1944 r. Ostatecznie została dyrektorką Departamentu V (oficjalnie nazywanego społeczno-politycznym) Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

O jej wpływach na szczytach komunistycznej władzy świadczy to, że brała udział w naradach politbiura PPR i PZPR, formalnie nie wchodząc w jego skład. Zadanie miała odpowiedzialne – zwalczanie opozycji politycznej i Kościoła.

Osobiście znęcała się nad więźniami przeciwnikami politycznymi, np. w więzieniu karno-śledczym nr III w Warszawie, tzw. Toledo. Znana była przede wszystkim z miażdżenia mężczyznom przyrodzenia w szufladach, głównie młodym chłopakom.

JULIA „LUNA” BRYSTYGIER

Urodzona w 1902 r. w Stryju.

Dyrektorka Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, szara eminencja bezpieki, zbrodniarka stalinowska.

Córka żydowskiego aptekarza. W 1926 r. ukończyła Wydział Humanistyczny na lwowskim Uniwersytecie im. Jana Kazimierza, następnie kontynuowała naukę w Paryżu. W 1928 r. zdała egzamin pedagogiczny. Na tym samym Uniwersytecie im. Jana Kazimierza uzyskała doktorat z dziedziny filozofii. W latach 1928–1929 pracowała jako nauczycielka historii w Gimnazjum

ILUSTRACJA: MARCIN DĄBKOWSKI. FOT. ARCHIWUM IPN. DZIEKI UPRAWNIENIU WYDAWCY KSIAŻKI TADEUSZA PUŁAZANSKIEGO

Po rozwiązaniu MBP jako Julia Prajs została szefową Naszej Księgarni. Pisała między innymi opowiadania dla polskich dzieci. Zmarła w 1975 r., podobno jako głęboko wierząca katoliczka, i została pochowana na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

EUGENIUSZ CHIMCZAK

Urodzony w 1921 r. w Steniatynie, pułkownik UB.

Najpierw śledczy PUBP w Tomaszowie Lubelskim, potem pułkownik w warszawskiej centrali MBP, w bezpiecie aż do 15 czerwca 1984 r.

Ukończył przyspieszone kursy dla funkcjonariuszy (Centralną Szkołę MBP w Łodzi).

Przesłuchiwany kilka lat temu przez prokuratora IPN w sprawie mordu sądowego rtm. Witolda Pileckiego przyznawał, że pracował w MBP, ale tej konkretnej sprawy „nie pamiętał”. Chimczakowi nie przeszkadzało to



mówić: „O tym, w co był zamieszany Pilecki, mogłem się zorientować z wyjaśnień, jakie mi złożył. [...] Moich zwierzchników interesowały wyjątkowo »sprawy szpiegowskie«, a sprawa Pileckiego do takich została zaliczona”. Pytany o stosowanie przymusu fizycznego i psychicznego odpowiadał: nie było żadnego. Nie bił, nie słyszał również, aby robili to inni. Chimczak pozwalał sobie nawet na dale idące dowcipy: „Nie widziałem żadnych obrażeń na ciele przesłuchiowanych i o nich nie słyszałem. [...] Owszem, zostałem przez Tadeusza Płuźańskiego [mojego ojca] oskarżony o znęcanie się nad nim w czasie przesłuchań, ale to nieprawda”. Skazanie go w 1996 r. na siedem i pół roku więzienia w procesie Adama Humera uważał za „sprawę polityczną”.

– Metody miał szczególne. Kiedy bicie nie skutkowało, krzyczał: „My wiemy, że masz twardą d...”, ale w celi obok jest twoja żona, z której wszystko wyciśniemy” – wspominał Chimczaka mój ojciec. – Kiedy w latach 70. spotkałem go na Nowym Świecie, mogłem mu tylko

napluć w twarz, ale tego nie zrobiłem. On nawet na to nie zasłużył.

Kazimierz Moczański, szef Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK, wymieniał 49 metod fizycznych i psychicznych tortur, wśród nich: bicie ręką, drewnianą linką okutą metalem, wrywanie włosów (tzw. podsukbywanie gęsi), przypalanie rozżarzonym papierosem okolic ust i oczu, płomieniem – palców obu dłoni, wskakiwanie butami na stopy, kopanie specjalnie w kości goleniowe, sadzanie na odwróconym stołku. Wszystkie te metody stosował „oficer” śledczy Eugeniusz Chimczak. Także wobec Hieronima Dekutowskiego „Zapory”.

Zmarł w październiku 2012 r., pochowany na cmentarzu komunalnym Północnym w Warszawie.

ANATOL FEJGIN

Urodzony w 1909 r. w Warszawie, zastępca szefa Głównego Zarządu Informacji WP, dyrektor X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W 1957 r. Fejgin został skazany na 12 lat więzienia za „naruszenie socjalistycznej praworządności”. W III RP za swoje „zasługi” w utrwalaniu „ludowej władzy” domagał się honorowych uprawnień kombatanckich.

Zbigniew Błażyński w książce „Mówi Józef Światło” (Światło był zastępcą Fejgina w MBP) pisał, że „departament dziesiąty był główną bronią Stalina w Polsce”, a jego zadaniem było: „wykrywanie, śledzenie i likwidowanie wszystkich zagranicznych, niesowieckich wpływów w PZPR i gromadzenie materiałów obciążających członków partii z wyjątkiem pierwszego sekretarza Bolesława Bieruta, którego kartoteka znajdowała się w Moskwie. W praktyce zadania departamentu były bardziej rozległe. Zbierały się tutaj nici wszystkich obciążeń, którymi wzajemnie rozporządzają przeciw sobie dygnitarze reżymu”.

X Departament (walka z tzw. prowokacją w ruchu robotniczym) posiadał własny wydział śledczy, własny pawilon w więzieniu mokotowskim oraz własne



więzienie, przerobione z willi w Miedzeszynie pod Warszawą. Na czele takiej maszyny musiał stać ktoś bardzo oddany partii i Moskwie.

Fejgin urodził się w zamożnej rodzinie jako syn Mojżesza. Maturę zdał w 1927 r., by przez dwa lata studiować na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Gdy miał 19 lat, w 1928 r. wstąpił do KPP i z jej ramienia działał w Warszawskim Komunistycznym Związku Młodzieży Polskiej. Za komunizm został dwukrotnie aresztowany i skazany (raz na dwa lata więzienia, później na cztery). Etatowym funkcjonariuszem KPP był aż do jej rozwiązania w 1938 r.

Po wybuchu wojny przedostał się na Wschód. Pracował jako ekonomista w sowchozie, następnie wstąpił do 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, gdzie został oficerem politycznym. 24 września 1945 r. napisał podanie do szefa Zarządu Informacji WP (pisownia oryginalna): „Proszę przyjąć mnie w poczet pracowników Informacji Wojska Polskiego. Z powagi obowiązków pracownika Informacji zdaję sobie w pełni sprawę i obowiązuję się uczciwie wypełniać je”. Fejgina nie tylko przyjęto, ale mianowano go zastępcą szefa Informacji – chyba najbardziej krwawej instytucji w stalinowskiej Polsce. Cztery lata później przeniósł się do równie „zasłużonego” MBP.

Fejgin wchodził w skład ścisłego grona bezpieczeństwa, tzw. Komisji Biura Politycznego do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie zapadały wiążące decyzje o kluczowych śledztwach politycznych. Dla partii taką „centralną sprawą” był tzw. spisek w wojsku – procesy przeciwko kierownictwu WP, które miało być rzekomo „imperialistyczną agenturą” (zapadły wyroki śmierci i wieloletniego więzienia), oraz sprawa o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” przeciwko Władysławowi Gomułce, Marianowi Spychalskiemu i innym.

Zmarł w 2003 r. w Warszawie, pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

WŁODZIMIERZ OSTAPOWICZ

Urodzony w 1907 r. w Stanisławowie, krwawy stalinowski sędzia wojskowy.

Absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie (1930). Do wybuchu wojny aplikant adwokacki i adwokat w Stanisławowie. W latach 1931–1937 członek Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. We wrześniu 1939 r., po wejściu Sowietów,

został p.o. sekretarzem tymczasowego kierownictwa miasta Stanisławowa. Pełnił wiele innych funkcji w administracji sowieckiej. Ewakuowany w głąb ZSRS.

Od lipca 1944 r. w wymiarze sprawiedliwości LWP, potem przewodniczący Wydziału ds. Doraźnych Sądu Okręgowego w Białymstoku, komunistycznego trybunału śmierci, który jeździł po wsiach i miasteczkach oraz skazywał przeciwników politycznych na ogół na karę śmierci. W ciągu 143 dni działalności sąd ów skazał na karę śmierci 93 oskarżonych. Wszystkie wyroki orzekł kpt. Ostapowicz. Z wyjątkiem jednego skazanego, którego ułaskawił Bierut, wszystkie kary zostały wykonane. W wielu miejscowościach egzekucje – przez powieszenie – miały charakter publiczny. Z Wydziału ds. Doraźnych Sądu Okręgowego w Białymstoku Ostapowicz przeskoczył na stanowisko szefa Wojskowego Sądu Rejonowego w Białymstoku. Sąd ten, a zarazem jego szef, po wejściu w życie w lipcu 1946 r. nowej wersji Dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa i zmianie Dekretu o postępowaniu doraźnym przejął kompetencje Wydziału do spraw Doraźnych przy białostockim sądzie okręgowym. Czyli Włodzimierz Ostapowicz na mocy stalinowskiego prawa zabijał dalej. Szacuje się, że jako szef WSR skazał na śmierć co najmniej 75 kolejnych osób.



W marcu 1947 r. trafił do Departamentu Personalnego MON. Jednak już we wrześniu następnego roku został szefem Wojskowego Sądu Okręgowego nr I w Warszawie. Do końca 1949 r. orzekł cztery następne wyroki śmierci. Od października 1950 r. do lipca 1955 r. Ostapowicz był jeszcze szefem Wojskowego Sądu Rejonowego we Wrocławiu. Najgłośniejszym procesem, jaki prowadził, była sprawa lokalnej organizacji antykomunistycznej Rzeczpospolita Polska Walcząca. 31 lipca 1952 r. zasądził sześć wyroków śmierci.

Rozkazem personalnym MON nr 442 z dnia 29 lipca 1955 r. zwolniony

ze służby wojskowej. W tym samym roku został adwokatem. Do końca 1956 r. praktykował w podwrocławskim Strzelinie, a później – do 1 marca 1978 r. – pracował w Zespole Adwokackim nr 3 we Wrocławiu. Był też aktywistą Komitetu Dzielnicowego PZPR Wrocław-Stare Miasto. Liczbę jego ofiar, według wciąż niepełnych danych, szacuje się na ponad 200, z czego 174 wyroki zostały wykonane. Największy morderca sądowy w PRL nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie. Zmarł w 1978 r. Został pochowany we Wrocławiu.

HENRYK PODLASKI

Urodzony w 1919 r. w Suwałkach, podpułkownik, zastępca naczelnego prokuratora wojskowego ds. szczególnych, zastępca prokuratora generalnego PRL.

W dokumentach czytamy: Podlaski Hersz, syn Mojżesza i Szpryncy Austern. Później zmienił imię na Henryk, ojciec Mojżesz został Maurycem, a matka Szpryncza Stanisławą. Kiedy przyszła „odwilż” i do więzienia trafiali, w celach propagandowych, niektórzy stalinowcy, Podlaski zaczął używać imienia Bernard, aż w końcu przepadł bez wieści. Przez dłuższy czas szukała go KG MO, ale bezskutecznie. Mówiło się, że utonął w nurtach Bugu. Miał to być wynik nieudanej przeprawy przez rzekę podczas ucieczki na Wschód albo akt samobójczy. W 1966 r., po 10 latach starań, żona krwawego prokuratora uzyskała potwierdzenie jego zgonu. Oficjalna wersja głosiła, że umarł 31 grudnia 1956 r.

Istnieją jednak relacje, według których cała sprawa została sfingowana, a Podlaski... zamieszkał w ZSRS, u boku siostry, która wyszła za mąż za wysokiego funkcjonariusza NKWD. Niektórzy twierdzą, że Podlaski jeszcze do niedawna żył, może nawet w Polsce. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Suwałkach, gdzie się urodził, nie ma informacji o jego zgonie.

Zastępca Stanisława Zarako-Zarakowskiego ds. szczególnych faktycznie rządził stalinowską prokuraturą wojskową.

W jednym z dokumentów czytamy: „Podlaski [...] nie tylko zajął stanowisko wysoce bezkrytyczne wobec b. MBP, lecz był nadto gorliwym wykonawcą życzeń b. MBP, przekazując je w postaci poleceń i zarządzeń podległym mu prokuratorom. [...] W tych warunkach Podlaski jako zastępca prokuratora generalnego PRL ponosi odpowiedzialność za stwierdzone przejawy łamania praworządności w prokuraturze”. Jedną z takich szczególnych spraw, rozpatrywanych w 1953 r.

przez sekcję tajną przy Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, był mord sądowy gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”.

ROMAN ROMKOWSKI

Właściwie Menasze (Nasiek, Natan) Grinszpan-Kikiel, urodzony w 1907 r., generał, wiceminister bezpieczeństwa, faktyczny szef MBP.

Syn Stanisława i Marii z domu Blajwajs. Przed wojną członek nielegalnej Organizacji Młodych Komunistów, przeszkolony w Kominternie („Szkoła Lenina”). W latach 1923–1926 więziony w Polsce za działalność wywrotową i antypaństwową. Działacz KZMP, KPP. W 1930 r. delegat na V Zjazd KPP do Moskwy, gdzie pozostał. Studiował na Komunistycznym Uniwersytecie Mniejszości Narodowych Zachodu, ukończył wieczorową szkołę oficerską i odbył praktyki w 14. Dywizji Strzelców w Monrowie. Od 1931 r. w WK(b). Od 1936 r. odbywał w więzieniu w Rawiczu karę siedmiu lat więzienia za działalność komunistyczną.



We wrześniu 1939 r. bronił Warszawy w batalionach robotniczych, po czym przedostał się do zajętego przez ZSRS Brześcia. W latach 1941–1944 w oddziale partyzantki sowieckiej Brygada im. Stalina na Białorusi był dowódcą oddziału, komisarzem politycznym i szefem wywiadu Brygady.

Od 1 sierpnia 1944 r. w „polskiej” bezpiece: szef kontrwywiadu Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, potem dyrektor kontrwywiadu w MBP (Departament I). W latach 1946–1949 pomocnik ministra BP, w latach 1949–1954 wiceminister BP, członek Komisji Bezpieczeństwa KC PZPR, która nadzorowała aparat represji.

To Romkowski, a nie Radkiewicz, był zaufanym człowiekiem Bermiana i Bieruta. Jako faktyczny szef MBP nadzorował kluczowe departamenty: śledczy, szkolenia i inwigilacji. Często osobiście przesłuchiwał więźniów. Na odprawie krajowej funkcjonariuszy UB w marcu 1950 r. mówił: „Tortury i bezmyślne

środku stosuje się, by złamać aresztowanego [...] bicie w śledztwie jest na porządku dziennym". W 1947 r. nadzorował śledztwo przeciwko Witoldowi Pileckiemu i jego współpracownikom (na protokołach przesłuchań znajdują się odręczne notatki Romkowskiego). Miał też osobiście przesłuchiwać rotmistrza w X Pawilonie więzienia mokotowskiego.

„Odwilżowa” komisja Mazura interesowała się między innymi tajnym więzieniem bezpieki w Miedzeszynie. Jeden z pracujących tam ubeków Jerzy Kędzióra zrzucał winę z siebie, obciążając przełożonych: „Odpowiedzialnym za wprowadzenie terroru jest Romkowski. Zostałem zdjęty z pracy na skutek pobicia Dobrzyńskiego, który poprzednio był bity przez Romkowskiego i Różańskiego”. I dalej: „W 1949 roku były rozkazy karne na temat bicia, ale równocześnie Romkowski i Różański sami bili więźniów”.

28 listopada 1954 r. został odwołany ze stanowiska wiceministra bezpieki. W 1956 r. aresztowany i w marcu 1957 r. skazany na 15 lat więzienia za nadzorowanie oraz stosowanie niedozwolonych metod śledczych. Zwolniony w 1964 r. Zmarł w 1968 r., pochowany na cmentarzu na Powązkach Wojskowych w Warszawie.

JACEK RÓŻAŃSKI

Właściwie Józef Goldberg, urodzony w 1907 r. w Warszawie, pułkownik, dyrektor Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Osobiście przesłuchiwał więźniów, stosując wymyślne tortury fizyczne i psychiczne.



Syn działacza syjonistycznego i redaktora naczelnego dziennika „Hajnt” Abrahama Goldberga i Chany Różańskiej. W 1929 r. ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Prawdopodobnie już wtedy rozpoczął współpracę z NKWD. Aplikował przy Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. Po zdaniu w 1936 r. egzaminu adwokackiego do wybuchu wojny prowadził samodzielną praktykę.

Po wybuchu wojny razem z towarzyszką życia Belą Frenkiel przedostał się

do Kostopola, gdzie pracowali w NKWD. W 1940 r. został wezwany do Lwowa, do oddziału NKWD do spraw polskich, gdzie zajmował się polskimi jeńcami (jako oficer polityczno-wychowawczy, tłumacz). Słynął z donosicielstwa, również na towarzyszy komunistów. Wszedł w łaski generała NKWD Iwana Sierowa. 22 czerwca 1941 r. wstąpił do Armii Czerwonej, ale został odwołany i przydzielony do zadań w NKWD. W czasie ewakuacji więźniów brał udział w rozstrzeliwaniu więźniów.

W lutym 1944 r. wstąpił do III Dywizji im. Traugutta, gdzie ukończył szkołę oficerów polityczno-wychowawczych.

Przeniesiony z wojska do Resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN w Lublinie zaczął posługiwać się panieńskim nazwiskiem matki – Różański. Dyrektorem Departamentu Śledczego MBP, a zarazem pułkownikiem został 1 lipca 1947 r. W latach 1949–1951 był dodatkowo lektorem KC PZPR z ramienia MBP.

W historii zapisał się jako jeden z największych katów Polaków po roku 1944. Ma na sumieniu śmierć wielu patriotów, m.in. rtm. Pileckiego, gen. Fieldorfa „Nila”. Mój ojciec usłyszał od Różańskiego w śledztwie na Rakowieckiej: „Ciebie nie uratuje, ty masz u mnie dwa wyroki śmierci”, co potwierdziło się później na sali sądowej. Różański z sadystyczną lubością znęcał się nad więźniami.

Na fali propagandowej destalinizacji w listopadzie 1954 r. Jacek Różański został aresztowany, a w 1955 r. skazany na pięć lat więzienia (na mocy amnestii zmniejszono mu karę do trzech lat i czterech miesięcy). W czasie drugiego procesu w 1957 r. został skazany na 14 lat więzienia. Podczas obu procesów pominięto jego odpowiedzialność za aresztowania i torturowanie członków polskiego podziemia niepodległościowego. Skazany jedynie za stosowanie „niedozwolonych metod” wobec członków PZPR.

Wyszedł na wolność w 1964 r. Do przejścia na emeryturę w 1969 r. był urzędnikiem w Mennicy Państwowej w Warszawie. Zmarł w 1981 r. w Warszawie, pochowany na cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej w Warszawie.

ANTONI SKULBASZEWSKI

Urodzony w 1915 r. w Peregonomce koło Kijowa, pułkownik Armii Czerwonej, naczelną prokuraturę wojskową.

Syn Dionizego i Marii z domu Naczkiewicz. W Armii Czerwonej służył od 1935 r. Potem skończył szkołę oficerską NKWD w Kijowie (1937) i awansował do stopnia pułkownika. Uczestniczył w na-

paści ZSRS na Finlandię i w tzw. Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Oddelegowano go do Wojska Polskiego, gdzie był kolejno oficerem śledczym, prokuratorem, a w latach 1945–1948 zastępcą prokuratora wojskowego i w końcu naczelnym (1948–1950). I jeszcze jedna niebagatelna funkcja – zastępcy szefa Głównego Zarządu Informacji MON (1950–1954). Szczególnie za zbrodnie w stalinowskiej Informacji Wojskowej powinien być oskarżony i sądzony.



Skulbaszewski w 1954 r. został odwołany do ZSRS. Zamieszkał w rodzinnym Kijowie. Mimo prób ścigania go przez III RP pozostawał poza zasięgiem polskiego wymiaru sprawiedliwości. Na Ukrainie jego czyny nie były bowiem uznawane za zbrodnicze, a nawet jeśli by były – podlegały przedawnieniu.

O jego zbrodniach mówi raport Mariana Mazura z 1957 r. Wobec ppłk. Stanisława Nowickiego: „Deptał mu po palcach nóg, śmiał się z niego, że został uderzony w twarz przez oficera śledczego (Leśniewskiego), straszył rozstrzelaniem bez sądu”.

Major Informacji Wojskowej Czesław Markiewicz przywoływał powiedzenie Skulbaszewskiego: „Niech ta bładź stoi tak długo, aż zdechnie albo zacznie mówić”. Wybitny specjalista od stalinizmu prof. Jerzy Poksiński w książce „TUN” napisał o śledztwie przeciwko Mossorowi, że „było wyjątkowo brutalne. [...] Zamknięto go w nieogrzewanej celi, gdzie przebywał prawie przez dwie zimy, bo aż do połowy grudnia 1953 r. Przesłuchiwano go po 20 godzin na dobę. Śledczy nie przyjmowali do wiadomości, że oskarżonego boli brzuch, ma silne bóle kręgosłupa i inne dolegliwości. Szczególnie uciążliwe było dla niego siedzenie na odwróconym stołku. Wył z bólu”.

Skulbaszewski był skuteczny. W sprawach tatarowskich oficerom, którym zarzucono szpiegostwo i zdradę „na rzecz imperialistów”, podległy Informacji Wojskowej sąd orzekł ponad 20 wyroków

śmierci. Pozostałe to kary wieloletniego więzienia. Taki był efekt sfingowanego przez komunistów „spisku w wojsku”. Skulbaszewski zmarł w 1990 r. w Kijowie.

MIECZYSLAW WIDAJ

Urodzony w 1912 r. w Mościskach (województwo łwowskie), pułkownik WP, krwawy stalinowski sędzia wojskowy.

Kiedy zmarł w styczniu 2008 r. w Warszawie, rodzina chciała pochować go na cmentarzu parafialnym kościoła św. Katarzyny na Służewcu. I nie byłoby w tym niczego dziwnego, gdyby na tej samej nekropolii nie leżały ofiary denata. Zmarły okazał się krwawym stalinowskim sędzią, który skazał na śmierć ponad 100 żołnierzy i działaczy powojennego podziemia niepodległościowego.

Pogrzeb został wstrzymany dzięki protestowi, jaki na ręce metropolity warszawskiego Kazimierza Nycza złożył wicemarszałek Senatu Zbigniew Romaszewski. – Zbrodniarz, który ma tyle krwi na rękach, nie może być chowany na cmentarzu katolickim. Od tego są cmentarze komunalne – argumentował.



Ostatecznie pogrzeb oprawcy odbył się w parafii św. Zofii Barań w Grabowie na Ursynowie. Jednak ponieważ ludzie przychodzili na grób Widaja, aby dać wyraz pamięci o jego zbrodniach, w 2009 r. jego szczątki zostały ekshumowane i przeniesione na cmentarz w okolicach Grodziska Mazowieckiego.

W 1934 r. Mieczysław Widaj ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, a rok później Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. W styczniu 1938 r. został mianowany podporucznikiem rezerwy w korpusie oficerów artylerii. Do 1939 r. praktykował w sądzie grodzkim w Mościskach i sądzie okręgowym w Przemyślu.

Walczył w kampanii wrześniowej, potem wstąpił do lwowskiej AK. W lutym 1950 r. skazał na 15 lat Jana Władysława Władkę, swojego przełożonego. Krwawym sędzią był w Łodzi i Warszawie.

W kwietniu 1950 r., w procesie kiblowym (od kibla w rogu celi, na którym oskarżony, z braku innego miejsca, musiał siedzieć podczas „rozprawy”), skazał na karę śmierci Stanisława Skalskiego, asa polskiego lotnictwa (w czasie II wojny światowej stracił 22 niemieckie samoloty). W listopadzie 1950 r. na wielokrotną karę śmierci skazał mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, dowódcę V Wileńskiej Brygady AK. We wrześniu 1953 r. ogłosił wyrok 12 lat więzienia dla ordynariusza kieleckiego bp. Czesława Kaczmarka za „działalność w antypaństwowym ośrodku” w interesie „imperializmu amerykańskiego i Watykanu”.

W 1954 r. awansował na zastępcę szefa Najwyższego Sądu Wojskowego. W 1956 r. zwolniony z zawodowej służby wojskowej i przeniesiony do rezerwy. Został radcą prawnym Centralnego Laboratorium Chemicznego w Warszawie, potem Centralnego Zarządu Konsumów i w końcu (od 1964 r.) Komendy Garnizonu m.st. Warszawy.

W III RP nie stanął przed sądem. Jedynie Ministerstwo Obrony Narodowej odebrało mu wojskową emeryturę, czyli 4 tys. zł, ale nadal miał prawo do 5,3 tys. zł emerytury sędziowskiej.

STANISŁAW ZARAKO-ZARAKOWSKI

Urodzony w 1909 r. w Słowniu w guberni witebskiej, generał brygady WP, naczelny prokurator wojskowy, oskarżyciel w wielu procesach politycznych, w III RP zdegradowany do stopnia szeregowca.

Syn Stanisława i Heleny z domu Samonowicz. Absolwent Wydziału Prawa na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie (1935). W latach 1932–1933 słuchacz Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty.

Pracował jako rewident w Spółdzielni Rolniczej w Wilnie (1935–1937), a następnie młodszy rewident Okręgowej Izby Kontroli w Wilnie (do 1939 r.). Zmobilizowany do 85. Pułku Strzelców Wileńskich 19. Dywizji Piechoty, walczył w kampanii wrześniowej. Po kapitulacji Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” przedostał się do Wilna. Tutaj pracował jako administrator hotelu komunalnego, buchalter sekcji pomocy Polakom przy Litewskim Czerwonym Krzyżu (1940–1942) oraz robotnik budowlany.

W 1945 r. zmobilizowany do LWP. Z frontu przeniesiony do prokuratury. W latach 1950–1956 pełnił kluczową w stalinowskim aparacie bezprawia funkcję naczelnego prokuratora wojskowego. Uczestniczył w wielu procesach żołnierzy AK, WiN, polityków II Rzeczy-

pospolitej, księży, występując z oskarżeniem samodzielnie lub zatwierdzając akty oskarżenia. W sprawach tych zapadło wiele wyroków śmierci.

Sierpień 1947 r., Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie. Zarakowski oskarża w pokazowym procesie II Zarządu Głównego WiN i działaczy PSL płk. Franciszka Niepokólczyckiego, że „od początku 1945 roku do dnia aresztowania, tj. 22 października 1946 roku, usiłował przemocą, tj. przez działalność Wydziału Bojowego, Oddziałów Leśnych, Sił Zbrojnych znajdujących się poza granicami państwa polskiego, usunąć ustanowione organa władzy”. Akt oskarżenia mówi też o kierowaniu wywiadowczą organizacją pod nazwą Izba Kontroli, pracującą za pieniądze dla obcych wywiadów.



Listopad 1948 r., Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie. Socjaliście Kazimierzowi Pużakowi, który całe życie poświęcił walce o niepodległość Polski, Zarakowski zarzucał planowanie obalenia przemocą „ludowo-demokratycznego” ustroju państwa, współpracę „ze zdrajcami PPS w Londynie i innych ośrodkach emigracyjnych na zachodzie”, wywiadami państw zachodnich „pod kierownictwem czynników światowego imperializmu”.

Sierpień 1951 r. Zarakowski jest głównym oskarżycielem w tzw. procesie generałów (gen. S. Tatara, płk. M. Utnika, płk. S. Nowickiego, gen. F. Hermana, gen. J. Kirchmayera, gen. S. Mossora, płk. M. Jureckiego, mjr. W. Romana i kmdr. Sz. Wacka) fałszywie oskarżonych o organizowanie rzekomego spisku w wojsku.

Generałem brygady został w 1953 r. Przeniesiony do rezerwy w kwietniu 1956 r. Pracował jako zastępca dyrektora Centralnego Zarządu Obrotu Produktami Naftowymi (1956–1957) oraz naczelnik Wydziału Prawnego Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Centralnego Zarządu Ceł (1957–1968). W 1968 r. przeszedł na emeryturę. Zdegradowany w 1991 r. Zmarł w 1998 r. w Warszawie. •



Paweł Lisicki

Kolejne opisy Pasji w ewangeliach nawzajem się potwierdzają, a nie sobie przeczą

BIBLIA

Kajfasz przesłuchuje błąźniercę





„Chrystus przed wysokim kapłanem”,
obraz Gerita van Honthorsta

FOT. BRIDGEMAN ART LIBRARY/CORBIS

Powoli zapadający zmrok, cisza, szmer niewyraźnych modlitw, wreszcie powoli sunący ku krzyżowi sznur wiernych – wielkopiątkowe nabożeństwo, ogołocone ze znaków triumfu i chwały, ma w sobie coś dramatycznego. Tak jak słowa Chrystusa na krzyżu, zanotowane przez Marka i Mateusza, w których wykrzyczana jest nieskończona otchłań cierpienia. Od kiedy pamiętam, chciałem – tak jak tyłu innych – przedrzeć się przez zastonę historii i zobaczyć, jak to naprawdę było. Jak wyglądał ten dzień w roku 30 albo 31 naszej ery. Co się wtedy dokładnie, minuta po minucie, wydarzyło. Pojmanie w Ogrójcu, przesłuchanie przed władzami żydowskimi, uwięzienie, wydanie Jezusa Piłatowi, krótka rozprawa, wyrok, wyprowadzenie skazańca, stracenie, śmierć.

Scena po scenie wypadki te zostały przedstawione przez czterech ewangelistów. Dzisiaj coraz częściej podważa się ich rzetelność. Wielu znanych i cenionych komentatorów twierdzi, że przekazane w świętych tekstach obrazy niewiele mają wspólnego z faktami. Chrześcijanin, gdy pierwszy raz styka się z dziełami współczesnych badaczy, musi być zaskoczony radykalizmem ich wniosków z jednej strony i pewnością siebie z drugiej. Mówi mu się często, że to, co Kościół brał za wierny opis zdarzeń, w istocie było obrazem spaczonym, legendarnym, mitycznym, wykrzywionym. Że wszystkie te sceny, które przez wieki przeszywały wyobraźnię, które stały się źródłem „Pasji” Bacha, obrazów El Greca czy też tak bardzo polskich misteriów kalwaryjskich, nie mają osadzenia w historii. Ułudą i iluzją są jedynie. Albo – jak często się twierdzi – dziełem złej woli. „Marek przekazał przyszłym pokoleniom jako dziedzictwo opis Pasji, który utrwalił obraz żydowskiej perfidii i złośliwości” – pisze australijska badaczka Paula Fredriksen. Tym samym wrogość do Żydów i judaizmu znalazła się w samym sercu Ewangelii św. Marka, a w konsekwencji chrześcijaństwa. Kiedy zatem w okresie postu katolicy w Polsce śpiewają o Jezusie, który był „U sądu Annaszowego naigrany [...] Przez ulice smrotnie

Do Kaifasa za włosy targany [...]” (cyt. za „Gorzkie żale”, wydanie z 1707 r.), to powielają jedynie nieprawdziwą i szkodliwą opowieść z początku wieków.

Fredriksen nie tylko jest wpływową autorką książek o początkach chrześcijaństwa, profesorem kilku ważnych uniwersytetów, ale także była konsultantem wyprodukowanego przez BBC historycznego

filmu o dziejach Nazarejczyka. Nie trzeba specjalnie się wysilać, żeby odgadnąć, jaka wersja opowieści o Męce Pańskiej dotarła do wielomilionowej publiczności.

DOWÓD NA UPRZEDZENIE

Kiedy bliżej przyjrzeć się argumentom, za pomocą których tacy znawcy jak Fredriksen dowodzą swych tez, łatwo się okaże, że przekonaniu o własnej słuszności nie odpowiada siła racji. To, co rzekomo miało być sprzecznością, fałszem, okazuje się najczęściej tylko różnicą perspektywy, innym punktem widzenia. Rzeczą najbardziej naturalną w świecie, zważywszy na to, że pisma zawierające opis męki miały autorów o niejednorodnych wrażliwości, wiedzy, literackich umiejętnościach; powstały w okresie może nawet kilkudziesięciu lat, w innych, odległych często geograficznie i kulturowo miejscach. To zaś, w czym niektórzy dostrzegają pierwotne ziarna antysemityzmu, czyli opis Męki Pańskiej, zdaje się właśnie wyjątkowo rzetelnym i wiarygodnym przedstawieniem przebiegu wypadków.

Mylę się? Zbyt łatwo przechodzę do porządku dziennego nad ustaleniami naukowców? Nie sądzę. Żeby to pokazać, wystarczy skupić się na kluczowych fragmentach Pasji. Jeden szczególnie budzi opór naukowców. Jest to mianowicie relacja z przesłuchania Jezusa przed Sanhedrynem, dramatyczne pytanie Kaifasa, odpowiedź Nazarejczyka, wreszcie decyzja o wydaniu go rzymskiemu gubernatorowi. Scena ta wielu współczesnym autorom zdaje się wydumana, nieautentyczna, wtórna. Ma być koronnym dowodem uprzedzeń ewangelistów. Nie pora tu wymieniać nazwiska wszystkich autorów, którzy kwestionują opis Marka i – jak powszechnie się uważa – idących za nim Mateusza oraz Łukasza. Każdy rok przynosi bowiem kolejne prace i książki.

Jednak zarzuty dwóch komentatorów, sądzę, zasługują na szczególną uwagę. Jeden i drugi bowiem, jak nikt inny, przyczynili się do nowego spojrzenia na dzieje Jezusa. Jeden i drugi podkreślali znaczenie żydowskości Galilejczyka. Ich książki stały się rzeczywistym przełomem, na nich – można śmiało powiedzieć – wychowała się większość piszących obecnie amerykańskich, angielskich, niemieckich czy francuskich egzegetów. Pierwszy to Geza Vermes, węgierski Żyd, niegdyś ksiądz katolicki, następnie znakomity znawca pism z Qumran, ich wydawca, tłumacz, profesor z Oksfordu, autor wielu książek o Jezusie, kilku tłumaczonych też na język polski. Drugi to Ed Sanders, polskiemu czytelnikowi całkiem nieznan, amerykański liberalny



■ protestant, najbardziej pewnie wpływowi komentator zeszłego stulecia w Stanach, od którego – jak twierdzi wielu – zaczął się całkiem nowy okres poszukiwań historycznych (tzw. Third Quest), których głównym celem miało być rozumienie Jezusa w kontekście współczesnego mu judaizmu.

Obaj wiele wysiłku włożyli w prze-myślenie na nowo historyczności Męki Pańskiej. Istnieją dobrze znane trudności – pisał Sanders – niepozwalające uznać za prawdziwe scen procesu Jezusa przed Sanhedrynem i oskarżenia Go o bluźnierstwo. Faktyczny punkt sporu Jezusa z władzami żydowskimi musiał być inny. Sanders wymienia siedem głównych wątpliwości co do wiarygodności przebiegu zdarzeń opisanych w ewangelii. W podobnym duchu swoje zarzuty przedstawił Vermes.

Aby je należycie zrozumieć, trzeba mieć przed oczami ewangeliczny opis Pasji – przytoczę tu opowieść z Ewangelii św. Marka, gdyż uchodzi ona za najwcześniejszą, za źródło, z którego korzystali późniejsi autorzy. Marek najpierw opisuje ujęcie Jezusa, następnie pisze o przesłuchaniu przed Sanhedrynem. To najwyraźniej się przeciągało, gdyż sędziowie nie byli w stanie znaleźć świadków, których zeznania zgodnie obciążałyby proroka z Galilei. W tym momencie do akcji wkracza Kajfasz, przewodniczący zgromadzenia. „Wówczas najwyższy kapłan zapytał Go jeszcze: »Czy Ty jesteś Chrystusem, Synem Błogosławionego?«. Jezus odpowiedział: »Ja jestem. Ujrzenie Syna Człowieczego, siedzącego po prawej stronie Mocy i przechodzącego wśród obłoków niebieskich«. Wtedy najwyższy kapłan, rozdzierając swoje szaty, powiedział: »Na co trzeba nam jeszcze świadków? Słyszeliście bluźnierstwo. Co o tym sądzicie?«. A oni wszyscy orzekli, że winien jest śmierci» (Mk 14, 61–63). Otóż zdaniem komentatorów taki dialog nie mógł mieć miejsca. Ani arcykapłan nie mógł pytać w ten sposób Jezusa, ani ten nie mógł mu takimi słowami odpowiedzieć. Dowodem nieprawdziwości tej krótkiej wymiany zdań mają być sama jej treść, użyte w niej wyrażenia. Dlaczego?

BEZ NIEDZIELI PALMOWEJ

Opis przesłuchania przed Sanhedrynem – wskazuje Sanders – został przygotowany tylko przez scenę wjazdu triumfального Jezusa do Jerozolimy. Jednak ta scena właśnie, jedyna, która tłumaczyłaby pytanie arcykapłana o to, czy Jezus jest Mesjaszem, czyli o to, czy zamierza przywrócić królestwo Dawida, sama rodzi poważne trudności.

Dlatego nagle Jezus, który nikomu nie pozwalał mówić o swej godności mesjań-

skiej, decyduje się na publiczną demonstrację i nawiązuje wyraźnie do symboliki królewskiej? W jaki sposób zgromadzeni na święto Paschy Żydzi mieliby dostrzegać w nim następcę Dawida, skoro sam wcześniej zabraniał się tak nazywać? Dlaczego mieliby widzieć w nim króla Zbawcę, skoro nic z czynów Galilejczyka – uzdrawianie chorych, egzorcyzmy, nauczanie – nie odpowiadało temu, co miał reprezentować król z dynastii Dawidowej? Na kartach Ewangelii św. Marka Galilejczyk zachowuje swą tożsamość w tajemnicy. Nie odpowiada nawet twierdząc na wyznanie Piotra (inaczej niż u Mateusza, gdzie uznanie Jezusa za Mesjasza spotyka się z pochwałą i aprobatą Rabbiego z Nazaretu). Gdyby nie scena wjazdu do Jerozolimy – dowodzi Sanders – gdyby nie okrzyki „Hosanna” i nie tłum witający Jezusa słowami o „królestwie naszego ojca Dawida” (Mk 11, 10), nie dałoby się zrozumieć pytań Kajfasza. Skoro triumfalnego wjazdu najpewniej nie było, skoro obchodzono przez chrześcijan Niedziela Palmowa najpewniej została wymyślona, to i arcykapłan nie mógł przesłuchiwać Jezusa w sposób podany przez Marka.

Dlatego miałby on pytać Jezusa o to, czy jest Chrystusem, Synem Błogosławionego (według Marka, Mk 14, 61) czy Synem Bożym (według Mateusza, Mt 26, 63), skoro według Marka Jezus nie wspomina o sobie ani jako o królu, ani wyraźnie o tym, że jest Mesjaszem? Wjazd do Jerozolimy na osiołku został zatem wykoncypowany po to, by uzasadnić pytania arcykapłana, te zaś nie są niczym innym jak tylko chrześcijańską twórczością, mającą obciążyć winą władze żydowskie – brzmi konkluzja.

Prawdę powiedziawszy, całe powyższe rozumowanie, na pozór tak mocno osadzone w kontekście, ma poważne braki i dziury. Nie jest prawdą, że pytania arcykapłana nie miały podstaw we wcześniejszej działalności Jezusa. Czy nie nauczał on o nadejściu Królestwa Bożego? Ależ nauczał. Czy owego przyjścia nie wiązał ze swoją osobą? Ależ wiązał. Czy ten, kto obiecywał, że przynosi panowanie Boga, nie sugerował tym samym, że ma władzę równą królewskiej?

Ciekawe, że żadnych trudności w opisie Marka nie dostrzegają inni znani badacze Nowego Testamentu, brytyjski komentator Maurice Casey. Jest on świadkiem o tyle cennym, że jest zadeklarowanym ateistą, odrzucającym wszelkie nadprzyrodzone roszczenie chrześcijaństwa, a zarazem jednym z lepszych znawców epoki, wybitnym specjalistą od języka aramejskiego. Otóż stwierdza on, co następuje: „Nauczanie o Królestwie Bożym było główną częścią przepowiadania Jezusa. Pascha była

świętem wyzwolenia Izraela z Egiptu, czego dokonała potężna ręka Boga. Podczas tego święta ogromna większość ludzi czekała na ostateczne ustanowienie królestwa Boga, a to właśnie przepowiadał Jezus”. Ze względu na te oczekiwania, ze względu na rozbudzone nadzieje na wyzwolenie Pascha należała do najbardziej niebezpiecznych politycznie z rzymskiego punktu widzenia świąt. To dlatego – wskazywał współczesny autorom ewangelii żydowski historyk Józef Flawiusz – przybywał tam na uroczystości z nieodległej Cezarei Nadmorskiej Poncjusz Piłat. Sam musiał dopilnować sytuacji, a jego żołnierze baczili, czy rozentuzjuszowany tłum nie ulegnie podszeptom



„Wjazd Jezusa do Jerozolimy”, obraz włoskiego malarza Stefano di Giovanniego FOT. CORBIS

agitatorów. A zatem tak wjazd Jezusa do Jerozolimy, jak i powitanie go przez tłum jako możliwego dziedzica Dawida nie mają w sobie niczego nieprawdopodobnego. Warto zresztą dodać, że określenie „Syn Dawida” pojawia się na ustach ludzi otaczających Jezusa wcześniej. Tak nazywa Galilejczyka niewidomy Bartymeusz, co może być dowodem na to, że w taki sposób, jako na wybawiciela pomazańca, patrzyli na Jezusa szerokie kręgi ówczesnych Żydów. Zwykły lud, a jego przedstawicielem jest niewidzący żebrak, upatrywał w nim nadziei na wyzwolenie narodu.

Zresztą nie tylko scena triumfalnego powitania w bramach miasta pozwoliła zadać arcykapłanowi pytanie o to, czy Jezus jest Mesjaszem. Przecież już po tym wydarzeniu wypędził on kupców ze świątyni – co musiało wskazywać na to, że przypisuje sobie nadzwyczajną władzę, tak jakby mógł decydować o sposobie sprawowania kultu w świątyni. Żydowskie pisma z okresu, kiedy żył i działał Nazarejczyk, wspominają, że Mesjasz może zbudować nową świątynię.

Wreszcie można przypuszczać, że do przedstawicieli Sanhedrynu dotarła wieść o tajemniczym namaszczeniu Jezusa w Betanii. Gdy przebywał tam z uczniami, podeszła do niego kobieta i wylała na niego

króla do Jerozolimy, zaatakował świątynię, zapowiadając budowę nowej. To przecież według pism żydowskich miał zrobić Mesjasz, gdy się objawi. Pytanie Kajfasza jest zatem doskonale osadzone w realiach tamtej epoki. Oczywiście Kajfasz nie pyta po to, by uznać Jezusa, stojącego przed nim bezbronnego, związanego i poniżonego Galilejczyka, za swego władcę, króla z rodu Dawida. Pyta o to, czy Jezus się za takiego uważa, by następnie stosownie do sytuacji właściwie go ukarać.

PRZYNAŁ SIĘ CZY NIE

Evangelie w zdumiewająco niechętny sposób – zauważają krytycy – przedsta-

bluźnierstwa, że zniekształcili prostą odpowiedź zapisaną przez Marka. W ich świadomości Jezus był równy Bogu, ale gdyby faktycznie to wyznał przed Kajfaszem, zasłużyłby na skazanie. Aby ocalić jego niewinność, ewangelieści wprowadzili dwuznaczne określenia. Jest jednak bardziej prawdopodobne – twierdzą inni krytycy – że oskarżenie o bluźnierstwo nie było głęboko zakorzenione w tradycji. Niepewność co do tego, jak brzmiała odpowiedź Jezusa – czy była twierdząca, czy wymijająca – ma pokazywać, że ewangelieści tak naprawdę niczego pewnego o samym przesłuchaniu nie wiedzieli.

Trudno, mniemam, uznać te argumenty za istotne. Każdy z ewangelistów stanął przed tym samym problemem: jak oddać to, że Jezus uznawał siebie za Mesjasza, ale nadawał temu tytułowi nową treść. Tak naprawdę wszyscy trzej, za pomocą różnych środków stylistycznych, pokazują to samo. Jezus przyznał, że jest Mesjaszem, ale w następnym zdaniu sam powiedział, co to według niego znaczy. Samo proste potwierdzenie lub zaprzeczenie nie wchodziło w rachubę. Już to, że Jezus uważał, iż Mesjasz musi cierpieć, i wierzył, że oczekiwanym znakiem mesjańskim są egzorcyzmy oraz uzdrowienia, było czymś niesłychanym. Żydzi spodziewali się Mesjasza wojownika, zwycięzcy w bitwach, pogromcy pogan. W oczywisty sposób Nazarejczyk nie pasował do takich wizji. I to właśnie starali się pokazać ewangelieści. Przekazują zatem różną w formie odpowiedź Jezusa nie dlatego, że brak im było wiedzy, że nie mieli dostępu do świadectw; nie, chcą opisać zupełnie nowe doświadczenie, nowe zjawisko, które wykracza już poza ramy judaizmu. Jezus uważał siebie za Mesjasza, a jednocześnie jego pojmowanie swojej roli daleko wykraczało poza granicę, jaką przypisywała jej tradycja żydowska.

ROZDARTE SZATY KAJFASZA

Kiedy do arcykapłana dociera odpowiedź Jezusa, rozdziera swoje szaty i woła, że usłyszał bluźnierstwo. Jednak nic z tego, co powiedział Jezus – zdaniem krytyków – nie może zostać uznane zgodnie z ówczesnymi przepisami za świętokradcze. Takiej reakcji nie mogły wywołać ani słowa Jezusa o tym, że ma się za Mesjasza, ani to, że mieni się być Synem Bożym. Po pierwsze – twierdzi Sanders – połączenie obu określeń w jednym pytaniu wydaje się bardziej dziełem chrześcijan niż Żydów: poza ruchem chrześcijańskim nie ma powodu dla powiązania „Mesjasza” z „Synem Bożym” w jednym zdaniu. To nie Kajfasz

alabastrowy flakonik drogiego nardu. Wprawdzie ewangelie mówią, że wylanie olejku było przygotowaniem do pogrzebu, ale był to także rytuał namaszczenia na króla. Źródłem wiedzy o tym wydarzeniu mógł być dla arcykapłana Judasz.

Nic dziwnego, że skoro arcykapłan przesłuchuje Jezusa, pyta go o to, czy uważa się za Mesjasza, Syna Błogosławionego. Ma wystarczająco dużo powodów: stoi przed nim człowiek, który nauczał o rychłym nadejściu panowania Boga i wyzwoleniu Izraela, wjechał wśród okrzyków tłumu wiwatującego na jego cześć jako

wiają to, że Jezus przyznał się do rzekomego zarzutu, choć niewątpliwie wszyscy ewangelieści wierzyli, iż był on Chrystusem i także Synem Bożym. Tylko Marek podaje, że odpowiedź Jezusa na pytanie arcykapłana była bezwarunkowo twierdząca. Inni się wahają. Mateusz przekazuje, że Jezus odpowiedział Kajfaszowi: „Tyś powiedział”. Od Łukasza trudno się dowiedzieć, jaka była właściwie odpowiedź: „Jeśli wam powiem, nie uwierzycie, a jeśli zapytam, nie odpowiecie”. Skąd takie różnice?

Według jednej z hipotez ewangelieści tak bardzo chcieli uwolnić Jezusa od zarzutu





■ zatem pyta Jezusa o to, czy jest Chrystusem, Synem Bożym, to późniejsi chrześcijanie wkładają mu takie pytanie w usta.

Dalej – żadne słowo Jezusa zanotowane w ewangeliiach nie pozwala uznać, że zbłądził. Zgodnie z rabiniczną definicją, aby uznać człowieka za sprawcę świętokradztwa i skazać go na śmierć, konieczne było wyraźne wypowiedzenie przez niego imienia Boga Jahwe. Jednak nawet gdyby uznać, że ten przepis zawarty w Misznie nie obowiązywał jeszcze w I w. n.e. – znał się on w późniejszym, pochodzącym z początku III w. n.e. zbiorze praw – i tak nie sposób zrozumieć, dlaczego Kajfasz miałby drzeć swoje kosztowne szaty.

Żydowski historyk Józef Flawiusz pisze o następujących po sobie rzekomych mesjaszach, ale żadnemu nie postawiono zarzutu bluźnierstwa. Wielu z nich próbowało poderwać Żydów do walki z Rzymianami. Niektórzy zapowiadali cudowne znaki, wzywali do wyjścia na pustynię, głosili, że na ich głos rozstąpi się rzeka Jordan, nikogo jednak nie skazano za bluźnierstwo. Podobnie oburzenia arcykapłana nie powinno wywołać uznanie się przez Jezusa za „Syna Bożego”. Zwrot ten bowiem nie oznaczał, że komuś przypisywano boskość. Syn Boży to w ówczesnym kontekście po prostu wierny Izraelita – król, prorok, nauczyciel; praktycznie każdy, kto wypełniał gorliwie przepisy Prawa, mógł zostać uznany za Syna Bożego. Nawet wszyscy Izraelici, jak świadczy o tym sam św. Paweł, mogli być nazwani „synami Boga”. Wniosek? Dopiero po tym, jak chrześcijanie uznali, że sam Jezus był Bogiem, to twierdzenie nabrało charakteru bluźnierstwa. W rozumieniu chrześcijan określenie „Syn Boży” przestało odnosić się do sprawiedliwego człowieka, a stało się tytułem wyrażającym boskość Jezusa. Gdyby arcykapłan usłyszał, że Jezus ma siebie za Syna Bożego, wzruszyłby co najwyżej ramionami, bo w określeniu tym nie znalazłby niczego obrazoburczego.

Również te zarzuty nie są mocniejsze niż pozostałe. Po pierwsze w tradycji żydowskiej, znanej z pewnością Kajfaszowi, „Mesjasz” był nazywany „Synem Bożym”. Tak mówi o przyszłym królu Zbawcy prorok Natan do króla Dawida. Nic dziwnego zatem, że Kajfasz mógł zadać takie pytanie Jezusowi. Po drugie pisma z Qumran pokazują, że tytuł „Syn Boży” był znany współczesnym Jezusa. Więcej – odnoszono go do króla o nadzwyczajnych prerogatywach, zapewne króla, z którym łączono mesjańskie oczekiwania na ostateczne wyzwolenie Izraela.

Można zatem sądzić, że arcykapłan mógł użyć zwrotu „Mesjasz, Syn Boży”,

mając na myśli człowieka namaszczonego, przeznaczonego do panowania. Po prostu zapytał, czy Jezus mieni się królem-wyzwolicielem. Pytanie to najpewniej zostało – nie mam wątpliwości, zważywszy na okoliczności – zadane w tonie mocno ironicznym.

Dlaczego w takim razie rozdarł szaty, gdy usłyszał odpowiedź podsądnego? Bluźnierstwem nie było to, że Jezus przyznał się do godności mesjańskiej, ale to, jakie znaczenie jej nadał! Odpowiadając arcykapłanowi, Jezus przywołał dwa krótkie cytaty – jeden z Księgi Psalmów (Ps 110, 1), drugi z Księgi Daniela (Dn 7, 13). Żaden z następujących po sobie mesjaszów lub pretendentów do tronu Izraela nie mówił o sobie jak o Synu Człowieczy, który zasiądzie na tronie po prawicy Boga i przybędzie na obłokach. W pismach Starego Testamentu przybycie na obłokach czy chmurach było znakiem wskazującym na obecność Jahwe. Jeśli zatem ktoś mówił o sobie, że przybędzie na obłokach, to znaczy, że odnosił do siebie obraz, który zgodnie z tradycją żydowską był zastrzeżony dla samego Boga. Krótko mówiąc, Jezus uczynił siebie równym Bogu.

Kajfasz znał Księgę Daniela oraz psalmy, wiedział więc, że Jezus przekracza ostrą granicę oddzielającą to, co ludzkie i co boskie

Określenie „Syn Człowieczy” musiało być doskonale znane Kajfaszowi. Pochodziło z napisanej co najmniej sto kilkadziesiąt lat wcześniej Księgi Daniela. To tam pojawia się tajemnicza postać „jakby Syna Człowieczego” lub „jakby człowieka”, która razem z Bogiem będzie sprawować sądy i której zostaje przekazane panowanie. Można być pewnym, że ta tajemnicza osoba, pierwotnie zapewne rozumiana jako podmiot zbiorowy, personifikacja wspólnoty świętych Izraelitów, stała się szybko przedmiotem fascynacji i dociekań jakiejś grupy Żydów. W napisanej być może jeszcze przed narodzinami Jezusa Księdze Henocha Syn Człowieczy zasiada na tronie jako ostateczny sędzia świata. Czy możliwe zatem, że arcykapłan żydowski nie słyszał o tym?

Tak jak Jezus arcykapłan, sądzę, znał Księgę Daniela oraz psalmy i wiedział, że ten, kto mówi o sobie, że zasiądzie po prawej ręce Boga na tronie, kto wyobra-

za sobie, że przybędzie na obłokach, przekracza ostrą granicę oddzielającą to, co ludzkie i co boskie. Gniew arcykapłana wywołało nie to, że Jezus miał się za Mesjasza – faktycznie, nie on jedyny. Tak samo nie przeraziły go słowa o tym, że Jezus uważał siebie za Syna Bożego – być może Kajfasz dostrzegłby w tym nadmierne zadufanie. Nie. Tym, co wywołało tak gwałtowną reakcję, było posłużenie się przez Jezusa dwoma obrazami: tronem po prawicy Boga oraz obłokami, na których przybywa.

Sekwencja zdarzeń wyglądała tak: wystąpienie Jezusa przeciw świątyni sprawiło, że arcykapłan zadał pytanie o to, czy jest on mesjaszem. Gdyby Jezus poprzestał na odpowiedzi twierdzącej, może skończyłoby się wszystko na krótkiej chwili ponizenia, może na 39 razach różgą – karze dotkliwej i bolesnej, ale nie śmiertelnej. Jednak odpowiedź była inna. Jezus, nauczyciel z prowincjonalnej Galilei, sam ogłosił, że przysługuje mu godność przewyższająca wszystko to, co do tej pory tradycja przewidywała dla największych bohaterów judaizmu. Mówiąc, że zasiądzie na tronie po prawicy Boga i że przyjdzie na obłokach, Jezus wskazał, że jego godność nieporównywalnie przekracza to, co Żydzi gotowi byli przyznać Abrahamowi, Mojżeszowi, Eliaszowi czy Dawidowi. W oczach arcykapłanów był to przejaw niesłychanej wręcz arogancji. Oto samozwańczy prorok z Galilei śmie wynosić siebie ponad największych patriarchów i przywódców Izraela, ba, przypisuje sobie miejsce w niebie oraz władzę równą Bogu. Podobnym przejawem pychy – z punktu widzenia przesłuchujących – było dodatkowo to, że Jezus uznał siebie za ich sędziego. Tym samym zakwestionował ich pochodzący od Boga autorytet. Rozdarcie szat przez arcykapłana, plucie na Jezusa, bicie go i policzkowanie były odpowiedzią na niesłychane bluźnierstwo, którego – jak uważali – stali się świadkami.

Również inne próby zakwestionowania rzetelności Pasi nie wydają się przekonujące. Ani to, że do przesłuchania nie mogło dojść podczas Paschy, ani różnice w sprawie daty stracenia między Markiem, Mateuszem i Łukaszem a Janem, ani wreszcie pozostałe niejasności czy chropowatości. Należy, moim zdaniem, widzieć w nich – podobnie jak czynią to najlepsi komentatorzy – nie dowody zafałszowania, ale znaki autentyczności. Cokolwiek by na ten temat powiedzieli niektórzy badacze starożytności, kolejne opisy Pasi nawzajem się potwierdzają, a nie sobie przeczą. ■

WYWIAD

Z Kazikiem Staszewskim,
wokalistą, liderem zespołu Kult



rozmawiają
Cezary Gmyz
i **Jakub Kowalski**

CEZARY GMYZ I JAKUB KOWALSKI: Napisał pan książkę o ojcu Stanisławie Staszewskim, choć w 1993 r., po filmie dokumentalnym „Tata Kazika”, uważał pan to dzieło za kompletne. Skąd ta zmiana?

KAZIK STASZEWSKI: Filmem Jurka Zalewskiego byłem i jestem zachwycony, ale okazało się, że nie wyczerpuje on tematu. Pokazuje postać ojca jako bon vivanta, barda czy – jak twierdzi reżyser, z czym się nie zgadzam – trochę skloszardowanego emigranta. Natomiast nie pokazuje architekta, który publikował teksty w prasie fachowej, stąd w książce sporo cytatów z dość krytycznych,

Mój tata pisał

na tyle, na ile pozwalała rzeczywistość lat 60., artykułów o polskiej architekturze. W filmie zabrakło roli ojca. On był niekonwencjonalny. Wreszcie nie było też tajnego współpracownika Urzędu Bezpieczeństwa. To ostatni moment, by o tym wszystkim opowiedzieć, bo powymierali ludzie, którzy tatę znali.

To książka dla pana czy czytelników?

Przy filmie dowiadywałem się różnych rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Przy książce było podobnie i poznałem całość postaci. Tym bardziej że temat ojca w domu stanowił tabu. O tym, że rodzice byli po rozwodzie, dowiedziałem się samodzielnie: gdy byłem mały, lubiłem grzebać w szufladach – nagle patrzę, decyzja sądu. Dopiero teraz mama powiedziała mi, że rozwód był koniunkturalny, bo skoro mąż był za granicą – wyjechał do Francji, gdy miałem cztery lata – w przypadku redukcji etatów w dyrekcji odbudowy Warszawa-Śródmieście byłaby pierwsza w kolejności do zwolnienia. Nie do końca w to wierzę, realny socjalizm wykluczał bezrobocie, ale przecież mogli ją przenieść na podręczne

wiersze i donosy

stanowisko. Nigdy nie żyłem w pełnej rodzinie. Było to dla mnie nie tyle normalne, ile fajne. Po latach dotarło do mnie, że ojciec w ogóle nie bardzo sobie życzył, żebym się urodził, bo nie chciał mieć dzieci, i właściwie determinacji mamy zawdzięczam to, że tu rozmawiamy. Wiem, że lekko z nim nie miała. Miałem z nią tragikomiczny dialog. Zarzuciłem, że to nie była normalna rodzina, bo nie przypominam sobie w najgłębszych zakamarkach pamięci, żeby ojciec był z nami – mieszkaliśmy z mamą i babcią, on był dochodzący. Sama mówiła, że dopiero w siódmym miesiącu ciąży powiedziała mu o tym.

„Mamo – pytam – czy to jest normalna sytuacja?”. Nie była skora do wyznań, zawsze stawiała granicę i nie wychodziła poza teren dykteryjek, anegdotek.

Ani kroku dalej. Trzy razy ją na wakacje zabrałem,

byliśmy tylko we dwoje, żeby przeprowadzić „grupę otwarcia”. Nie dało się, lecz w końcu, co jest dla mnie ważne, otworzyła się i zrobiłem wywiad z własną mamą. Dramatyczna rozmowa, łyż. Opowiedziała mi kilka historii i mogłem spojrzeć na ich sytuację z drugiej strony, którą wcześniej znałem tylko z relacji ojca czy listów pisanych do rodziny. To leżało jej na sercu, dobrze się stało, że zdążyliśmy, bo po tych trzech wyjazdach wakacyjnych straciłem nadzieję.

Było coś intymnego?

Jedna rzecz, o której w książce z premedytacją nie napisałem. Nie powiem jaka. Jednak trzeba też oddać mamie, że nigdy złego słowa na temat ojca nie powiedziała. Nie byłem przez nią ustawiany w kontrze do taty. Ojciec był dla niej kimś, choć przecież go nie było.

Współautorem książki jest prokurator Jarosław Duś. Skąd ten pomysł? Czy jego umiejętności śledcze się przydały?

Doszedł do bardzo wielu rzeczy. Zresztą to sprawca książki, pomysł wziął się od niego. Poznaliśmy się, gdy zadzwonił do mnie – nie wiem, skąd miał numer – i powiedział, że jest moim fanem. Dotarł na koncert w okolicach Bydgoszczy, przyjechał w srogą zimę, gdy trudno było chodzić, więc poświęcenie duże. Zaczęliśmy się spotykać, przychodziłem do niego do domu i kilka razy się upiliśmy w bardzo miłych okolicznościach przyrody. Jarek pracował w Sejmie nad nowelizacją kodeksu karnego, ale chciał zadać pytania osobie, której – jak się okazuje – nie wolno zadawać pytań, przez co był szykanowany w pracy, a potem został zawieszony i odesłany w stan spoczynku. Stwierdził, że skoro ma tyle wolnego czasu, może napiszemy wspólnie książkę o moim ojcu. Miał się zająć stroną logistyczną i dotarciem do ludzi, dałem mu pudło kontaktów. Bał się, że będzie tak mało materiałów, iż objęściowo wyjdzie nam coś na kształt „Naszej szkapki”. I tak było w opisie najdawniejszych czasów, choć i tak dotarł do rzeczy, które nikomu w rodzinie nie były znane – kto był ojcem chrzestnym i tym podob-

ne – więc początek jest akademicki jak dokumenty z prokuratury. Pisał dużo, bo się bał, że będzie mało tekstu, jednak mylił się całkowicie, bo im bliżej naszych czasów, tym ludzi pojawiało się więcej i książka się rozwijała – wyszło niemalże 600 stron. Myślałem, że korzenie naszej rodziny to Pabianice, ale Jarek odnalazł, że Wieluń, skąd zresztą pochodzi, więc staliśmy się ziomalami. To się przerodziło w zażyłą przyjaźń, jest zabebistym chłopakiem.

Wieluń, Pabianice, Paryż. Kto jeździł zbierać materiały?

Jarek. Dotarł praktycznie, do kogo można i kto żyje. W filmie dokumentalnym nie występował największy przyjaciel ojca, Grzegorz Lasota, były redaktor naczelny „Pegaza”, dzisiaj ciężko chory, choć wciąż zadeklarowany stalinista. Strasznie krytykował film, że ojca pokazano tylko z jednej strony – teraz udało się namówić go na rozmowę. Druga osoba, do której dotarliśmy, to ostatnia narzeczona ojca z Francji, która była przy nim, gdy umierał – 19-letnia wówczas, on sam miał 48 lat. Nie życzyła sobie, żeby podawać jej nazwisko w książce, występuje jako dziewczyna Staszka. Potem było jeszcze kilkadziesiąt godzin rozmów ze mną i wspólne redagowanie książki, dopisywanie opowieści od mamy. Pomysłem Jarka było też to, żeby trzecim autorem został Staszek Staszewski. Tam jest cała gama jego listów z kraju i Francji, bardzo dużo poezji.

W wielu tekstach, także w biografii w Wikipedii, jest informacja, że po powstaniu warszawskim pana ojciec zaciągnął się do Wehrmachtu, by szybko uciec. To prawda?

Nieprawda. Autorem tej historii jest Jan Tereszczenko, kolega ojca mieszkający w Kanadzie, ale w rozmowie do książki wycofał się z tych słów. Zresztą sam usłyszał o tym od znajomego architekta z Brukseli. Tymczasem prawdziwą opowieść poznałem z pierwszej ręki od brata ojca, bo aresztowali wtedy ich obu. 30 lipca 1944 r. matka kazała im uciekać z Warszawy do Zielonki, gdzie mieszkał wujek Mroziński, który ich przygarnął. Na początku września podeszli tam jednak Niemcy wycofujący się ze stolicy. ■

■ Tata z bratem zaczęli wtedy uciekać na Pragę, lecz zostali aresztowani przez przypadkowy patrol i osadzeni w obozie przejściowym. Tam usłyszeli, że jeden ze strażników mówi po śląsku. Powiedzieli mu, żeby poszedł do ich domu, gdzie dostanie wódkę, jedzenie i pieniądze, żeby ich wyprowadził z obozu. Zgodził się, mieli udawać jeńców. W połowie drogi ojciec przypomniał sobie jednak, że w obozie zostawił sztyty na miarę garnitur, bo ewakuując się, miał wyglądać porządnie. Powiedział, że się cofnie. Esemman starał się go odwieść od tego pomysłu, ale tata był bardzo uparty. Brat ojca trafił więc do domu, on sam miał zostać przyprowadzony na drugi dzień. Tymczasem w nocy zwinęli obóz i wszyscy pojechali do Austrii lub Niemiec. Epizod z Wehrmachtem jest wymysłem.

Stanisław Staszewski trafił do obozu w Mauthausen.

Dokładnie do Ebensee, który należał do struktury Mauthausen. To nie był obóz śmierci, gdzie gazowano ludzi, zabijano ich tam przez pracę. Jeśli ktoś jest po lekturze „Pięciu lat kacetu”, to wie, że tam ludzie się modlili, żeby ich przeniesiono do Auschwitz, które jawiło się jako sanatorium. Ojciec trafił do obozu w sierpniu 1944 r., który Grzesiuk opisuje jako niemalże idylliczny, ale ja dziękuję za taką idyllę. Otarł się tam o śmierć – słynna jest historia z popsutym krematorium, gdy nieprzytomnego wyrzucili go na górę trupów i cudem przeżył, bo przyszła do niego paczka z Pabianic, a kapo też był z tego miasta i zaczął szukać ojca – znalazł go jeszcze żywego. To wszystko spotkało człowieka, który miał 19 lat i był młodszy niż teraz moi synowie. Po wojnie doświadczeniem wielu ludzi było to, że nowy system komunistyczny jawił się jako alternatywa piekła, które przeżyli. To mogło zawrócić w głowie. Wyobrażam sobie sytuację, że – jak ojciec sam powiedział – „władcza twarz Lenina robi na nim wrażenie”. Podobała mu się aktywizacja mas, które komunizm niosły ze sobą. W latach 50. generalnie nie krył się z sympatiami komunistycznymi.

Tak też tłumaczy pan jego współpracę z UB. Jak pan na to trafił? I czy nie obawia się pan zarzutu, że Kazik lustruje ojca?

Z Jarkiem stwierdziliśmy, że do IPN nie będziemy zaglądać. Jednak przyszedł do mnie lakoniczny e-mail od byłego pracownika tej instytucji – co traktuję jako interwencję sił wyższych, że stało się to

akurat wtedy – z zapytaniem, czy znam materiały dotyczące ojca, które znajdują się w IPN i dotyczą współpracy z UB. Odpisałem, że nie wiem, o co chodzi. Otrzymałem odpowiedź w mentorskim tonie, że jeśli nie mam pojęcia, co to jest IPN i UB, to ów pan służy wyjaśnieniami. Odpisałem oschle – znowu wymiana uprzejmości – że mam pojęcie, niemniej chciałbym więcej wiedzy pojąć. „Dowie się pan w swoim czasie, bo zamierzam te materiały opublikować” – odpisałem, choć ich nie opublikowałem, bo zamknęto mu bloga. Dużo wcześniej stracił pracę w IPN. Wiedząc, że coś jest na rzeczy, złożyłem wnioszek. Szybko się odezwano, że są wnioski paszportowe ojca z lat 60. oraz sprawozdanie z przesłuchania na milicji i charakterystyka jego osoby z komendy w Płocku, gdzie pracował. Potem ktoś zadzwonił jeszcze raz, że jest coś na rzeczy i ojciec był zarejestrowany jako tajny współpracownik o pseudonimie Nowy.

Są donosy?

To ewidentnie jego pismo, nie może być mowy o żadnej fałszywce.

Są pokwitowania prezentów lub pieniędzy?

Nie ma.

Szok?

Krótki. Mam bardzo rozsądnego syna, który wytłumaczył mi, że to absurd tym się przejmować. Skoro przedstawiamy w książce całościową charakterystykę osoby i ten epizod był, to lepiej, że ja to zrobię, niż by to zrobił ktoś z zewnątrz. Z pomocą Kazia wyleczyłem się z poczucia może nie winy, bo nie ma co się winić za cudze czyny, nawet ojca, ale jakiegoś przerażenia.

Ile trwała współpraca?

Od czerwca 1953 r. do grudnia 1954 r. Głównym materiałem są właśnie donosy plus skargi oficera prowadzącego, że ojciec nie przyszedł na umówione spotkanie. Był donosicielem takim, jakim był człowiekiem – niepokładanym. Nie przychodził na spotkania. Nie było nawiązania współpracy ani jej rozwiązania – przynajmniej nie ma takich dokumentów, choć nie wykluczam, że istnieją. W książce jest wszystko, co mi dano w IPN. Chłopak, który mi to wręczał, mówił, że strasznie się zasmucili, gdy to znaleźli. Czemu? – zapytałem. – To jest wasza robota i nie ma się co smuć. Nie on jeden miał epizod o takim charakterze. Był zadeklarowanym komunistą, ale trudno mi oceniać kogoś, kto nie żyje ponad 40 lat, a współpracował 60 lat temu. Daleki jestem od potępiania jego wyborów.

Czy ma pan problem z myśleniem o ojcu jako tajnym współpracowniku?

Nie. Nie jest to jakaś dojmująca sprawa. Sam całe życie spędziłem w ciepłarnianych warunkach. Moje najbardziej dramatyczne przeżycie, jeśli chodzi o konflikt z systemem, to 3 maja 1982 r., gdy trochę pobili mnie ZOMO-wcy. Trudno mi więc wchodzić w motywację człowieka, który przeżył Mauthausen.

Jednak rok 1953 to był szczytowy stalinizm, można się było przerazić...

To oczywiście mój tata i będę się starał nawet podświadomie go wybielać. Jednak wobec jasnych deklaracji prokomunistycznych i lektury donosów mam wrażenie, że nikt go specjalnie nie musiał werbować. On to robił z czystego przekonania. Chciał pomóc. A że nie za wiele wiedział, jak wynika z tych dokumentów, to pomoc była taka, a nie inna... Są to wiadomości, co do których jestem przekonany, że ubecja musiała być ich świadoma.

Kogo dotyczyły donosy?

To głównie charakterystyki ludzi. O wujku Marku z naszej rodziny pisał, że był królem pogranicza polsko-czechosłowackiego, jeśli chodzi o przemyt papierosów, ale potem następują wyprowadzenie tematu i uwaga, że jest dobrym prezesem Spółdzielni im. Mariana Buczka. Raportował, co ludzie w Metroprokcie sądzą na temat podwyżki cen. Donosił, że ktoś się spotyka i gra w brydża. Gdy powiedziałem mamie, że są papiery na ojca i dowód jego współpracy z UB, nie była tego świadoma. Jednak ciekawa rzecz: w rodzinie pamięta się, że mój dziadek Kazimierz uczulał towarzystwo, żeby nie rozmawiano na tematy polityczne, gdy Staszek jest w pobliżu. Może sam coś wyczuwał albo ojciec mu powiedział?

Czy podczas pracy nad książką wyszło, ile w panu jest cech ojca, a na ile budował pan swoją tożsamość w opozycji do niego?

Najpierw w opozycji, ale na starość wszyscy robimy się podobni do swoich ojców. Całe życie byłem podobny do mamy, a teraz, gdy mnie widzą, mówią, że powoli staję się Staszkiem. Czuję, że im dalej w las,



456

[illegible]

A jakim człowiekiem na to dzień w pracy był Staszewski? Z pomocą przychodzi mi jednak właśnie Staszek, znany w naszym kręgu: temple strzelający skierkami, skalnikami i innymi przedmiotami koczarskimi. Generalnie o.....

torcy w Ogrodzie Saskim. „Nie musisz go bać, bo on jest podległy i chodzi do rca, któremu składa raporty”. Pamiętam o entourage: średniej jakości garnitury, szuła z krawatem, język. We Francji zaczęliśmy go zupełnie innego: koszula chelstana, długie włosy. Poznałem od u. Z dworca pojechaliśmy do mieszka- na rue Oberkampf, które znalazłem po ach, jednak nie miałem odwagi zapukać nowych właścicieli. Nie miał telewizjo- stały tam organy elektryczne i gitara. magnetofon kasetowy, który mnie chwycił. To była dużo istotniejsza rzecz ■



go zbudował. On już wcześniej drogi, zawieszony był wczarzał. Potem do Polki sprowadziło pręgiem, którego mamia blyskawicznie sprzedała. Była w domu jakas kasetka magnetofonowa z nagraniami mi taty, ale ona male kompletnie nie interesowała. Gdy zaczęłam się interesować muzyką, polskie kasety nie do niego się nadawały, a te w Persepolis były drogie, nawet dolara kosztowały, wzięłam więc



Bardzo mi się podobają zdjęcia z
Taj. A mama mówi że, brzydka jest w wagonie
I też na jednym zdjęciu wygląda jak
przemysł.

Catuje

Kazio!

Atte gumie przypisuj mi w małych dzieciach
bo jest bardzo drogie.
1 kg. * 500 zł.



Catuje cie. Kazio, 1979, 1979

Los vagueros prorr fascista de
tute. Anécdotas de polígrafo político
judicial. Interrogatorio en tute
sordida. (v. *Wagons*, 1937)

szybko mogło się źle skończyć. Miałem ludzi, którym jestem potrzebny i którzy są mi potrzebni. Były obowiązki i nawet gdy gdzieś zaszalałem, musiałem być ojcem rodziny i przywódcą stada. Pojmowanie roli ojca było więc diametralnie inne. Mama podczas rozmowy opowiadała mi smutne rzeczy. Jak wywiózł ją pod Płock, gdzie pracował, niby na wakacje, żeby dziecko miało dobry klimat i wypoczywało, ale pieniędzy nie przynosił. Albo kiedyś obiecał, że przyjedzie, mama cały dzień czekała, aż ktoś powiedział, że tata przejechał z kolegami do Kazimierza. Zaśmiałem się, że mu się Kazimierze pomyliły.

początku było to absolutnie amatorskie działanie. Jednak nie przeszkadzała mi w tym, potrafiła nawet załatwić miejsca na próby. Miała też żal, że nie napisałem pracy magisterskiej. Wiele lat później przyniosłem kilkanaście prac magisterskich i jedną doktorską, które dostałem od ich autorów: „Sam nie napisałem, ale tu masz tyle o mnie”. Teraz ma 83 lata, jest ukochaną osobą i cały czas mam w niej oparcie. Ta rozmowa do książki to dla nas bardzo ważne zdarzenie.

Nie szukał pan męskiego autorytetu w miejsce ojca?

Oczywiście, że szukałem. Gdy patrzę z perspektywy czasu – brak faceta był dojmujący. Po wyjeździe taty i jego śmierci mąż siostry mojej mamy, znany jako wujek Marek, na którego zresztą ojciec donosił, grał taką rolę. Zaszczepił mi zainteresowanie II wojną światową, bo nie opowiadał bajek, tylko miał wielki album o III Rzeszy i myśmy to wertowali. Drugą osobą był wujek z Londynu, który próbował wychować mnie w duchu militarnym, więc gdy robiłem wszystko, żeby nie iść do wojska, dla niego, kawalerzysty z najlepszej szkoły w Grudziądzu, było to niepojęte. Nawet raz na wycieczce w Rumunię tak się przylepiłem do naszego pilota, że aż mu połamałem okulary przeciwsłoneczne, i się skończyło. To wszystko nie była normalna sytuacja, więc to, że się wywinąłem, jest czymś na pograniczu cudu. Jednak dostałem silną kobietę w prezencie od Pana Boga. Sam mam kłopoty z wieloma rzeczami, jestem mało asertywny, zbyt delikatny. Ładnie się poukladało z moją mamą czy jej rodzicami, tak samo jak u nas z naszymi dziećmi, a sytuacja jest nieco toksyczna, bo mieszkamy okno w okno.

Dostał pan klapsa od swojego ojca?

Nie przypominam sobie.

Sam raz dał pan w skórę jednemu z synów. Za co?

Wyskoczył przed samochód jadący Senatorską. Jednak czy jestem dobrym ojcem, to pytanie do chłopaków. Oczywiście chciałbym powiedzieć, że dobrym. Że wszystko czyniłem w tym kierunku. Czy się udało? Wiem, że były różne momenty. Kiedyś mnie tak zirytowali, że wziąłem Kazimierza do sąsiedniego pokoju i ściągnąłem pas, choć nie miałem zamiaru go uderzyć, tylko przestraszyć. I bardzo mocno przestraszyłem, aż do dziś kiepsko się z tym czuję, nie wiem, jak to mogłem

zrobić. Jednak on tego nie pamięta. Ich traumatyczne przeżycia to sylwester u znajomych i karczemna kłótnia z Anią, po której mieli niemal pewność, że rodzina się rozpadnie. Albo kiedyś w Dębkach niosłem Janka na barana, byłem pijany i się przewróciliśmy. Oni takie rzeczy pamiętają, dla mnie to szczegóły. Nie ma recepty na hycie ojcem. Ja jej nie znam, nikt jej nie zna.

Teraz jest pan dziadkiem...

Rodzice mają skarb, jakim są dzieci, ale to także багаż obowiązków. Wnuki są samą przyjemnością: fajna zabawa, spanie śmietanki smacznej i zdrowej. Tym bardziej że dziewczynki trafiły nam się niezwykle urocze i wyjątkowo mądre.

Śpiewa pan nawet: „Dobrze być dziadkiem i nosić przy tym spodnie w kratkę”.

Mam, niejedne.

Najwyraźniej rodzina pana uratowała.

Tak, ale bezwiednie. Do dziś jestem nieśmiały względem płci przeciwnej, w młodości to było bardzo dokuczliwe. To Ania mnie poderwała i sprawiła, że jesteśmy razem.

Wyobraźmy sobie, że wróg jest u bram. Staje pan wtedy na barykadzie czy zabiera bliskich do domu na Teneryfie?

Tam też jest mniejszość rosyjska – kilkadziesiąt tysięcy osób, mają własne gazety – i wcale bym się nie zdziwił, gdyby ich prawa były naruszone i gdyby ktoś przyjechał na pomoc. Okazało się, że Putin jest nieobliczalny albo obliczalny, bo wie, na co Zachód się nie poważy, i w tym zakresie może sobie pozwolić na wiele. A Rosjanie zaczynają wariować, tak jak Niemcy w 1932 r., o czym świadczy gigantyczne poparcie. Niewiele trzeba, żeby targał mną niepokój. W skali mikro boję się o bliskich, w skali makro o sytuację na świecie. Obym jednak nie stawał przed dylematem, co robić. Lubię przebywać na Teneryfie, jednak to nie jest mój dom. Nigdy tak się tam nie poczuje. Nie potrafię przejąć się niedorzecznościami, jakie serwował tam premier Zapatero, a irytują mnie niedorzeczności, które tutaj serwuje premier Tusk czy prezes Kaczyński. To mój dom, moje gniazdo. Rodzina jest dla mnie niezwykle ważna, ale to polska rodzina i tu jest jej miejsce.

Sześciolatki w szkole to jeden z przejawów tej nedorzeczności...

Mogę powtórzyć za żoną, która jest nauczycielką i ma kompetencje: w polskich warunkach jest to aberracja. Dzieci nie

ogarniają rytmu szkolnego, same szkoły też nie są przygotowane. Mówię to, choć sam poszedłem do szkoły jako sześciolatek, przedtem musiałem zdawać testy i porównywać trójkąty. Stwierdzili, że jestem taki mądry, iż mogę spróbować. To zresztą praprzyczyna, dla której nie skończyłem socjologii. Zawsze byłem najmłodszy, więc wziąłem urlop dziekański i powrotu do regularnej nauki już nie było. Poza tym muzyka zaczęła anektować coraz więcej, studia stały się fikcją.

Co by pan dopisał dzisiaj do piosenki „Polska”?

To dzieło skończone. Niczego nie trzeba dodawać.

A jaką piosenkę o Polsce napisałby pan dzisiaj?

Nie wiem. U mnie od pomysłu do przemysłu to jest moment. Nie planuję, że napiszę na ten temat. Pojawia się szлагwort i wokół tego buduje treść – mogę to porównać do patyka i waty cukrowej. Na razie nic mi nie przychodzi do głowy. Zresztą ostatnio mniej mi przychodzi... Jednak dla niszowej kapeli, w której się udzielam jako wokalista, napisałem o ludzie, który czeka ciągle na cud i wierzy, że to, co obiecano, będzie literalnie dane, choć kolejne zwroty są li tylko socjotechniką – i stąd biorą się rozczarowania. Jeżdżymy na koncerty i nie da się ukryć, że kiedyś do Zielonej Góry jechało się dziewięć godzin, a teraz trzy i pół godziny. Drogi są jednak popękane, co świadczy o jakiejś niemożności. Celowej czy wynikającej z dopustu bożego lub ludzkiego? Nie wiem.

Popularna piosenka mówi, że wszyscy Polacy to jedna rodzina. Czy potrafi się ona dogadać?

Jedna rodzina, ale skłócona. Niespecjalnie widzę tu jakikolwiek materiał na lekarstwo, które mogłoby to zlepić. Jestem pełen obaw, bo analogiczna sytuacja jest w Hiszpanii. Tam korzenie sięgają jeszcze wojny domowej, na którą koniec końców schodzą rozmowy i nikt nie potrafi mówić o tym bez emocji. Kraj jest podzielony na komuny i szeroko pojętych zwolenników gen. Franco, jedni drugim wymyślają od bandytów i zbrodniarzy. Podejrzewam, że u nas najgorsze jeszcze nie nastąpiło. Jestem w tej kwestii pesymistą. •



STANISŁAW STASZEWSKI
KAZIK STASZEWSKI
JAROSŁAW DUŚ
„TATA MIMO WOLI”
KOSMOS KOSMOS 2014

TEMAT TYGODNIA



WYWIAD

Z Martą Kaczyńską, córką Marii i Lecha Kaczyńskich

rozmawia
Piotr Gociek

Sekrety rodziny Kaczyńskich

PIOTR GOCIEK: Mocno pani odczuła zmianę, kiedy ojciec został prezydentem Polski? To, że wasza rodzina nie może już prowadzić takiego życia jak dawniej? Że są ochrona, paparazzi?

MARTA KACZYŃSKA: Zaskoczę pana, ale nie. W tamtym czasie miałam już córkę, dostałam się na aplikację adwokacką, wkrótce było zaprzysiężenie mojego taty na prezydenta, ale mnie to jakoś bardzo nie dotyczyło, miałam swoje życie w Sopocie, a rodzice swoje – w Warszawie. Ja więc nie żyłam na co dzień

sprawami prezydentury. Spotykaliśmy się z rodzicami w weekendy, zainteresowanie prasy moją osobą absolutnie nie było nawet porównywalne z tym, co się dzieje w tej chwili. Główną i jedyną zmianą w moim codziennym życiu było dla to, że w pewnym momencie na najwyższym piętrze kamienicy, w której mieszkam, zamieszkali panowie z Biura Ochrony Rządu. Pojawiło się kilka kamer w budynku, to wszystko. Jedyną oficjalną uroczystością, w jakiej wzięłam udział podczas prezydentury ojca, było spotkanie z papieżem Benedyktem XVI.

Czyli paparazzi stali się dla pani problemem dopiero po katastrofie smoleńskiej?

Tak. Są takie fale wzmrożonego zainteresowania, które pojawiają się i znikają, ale ostatnie lata naprawdę były pod tym względem trudne. Moja prywatność mocno ucierpiała. Nie ukrywam, że jest to także jeden z powodów opóźnienia momentu powrotu do pracy zawodowej.

W tej chwili nie jest pani praktykującym adwokatem.

W tej chwili wychowuję dzieci, ale powoli zmierzam także do powrotu do zawodu. Chcę go wykonywać, ale trudno wyobrazić sobie normalną pracę w nienormalnych warunkach, kiedy każdy mój klient musi się liczyć z tym, że

mną paparazzi. Dlatego nie chcę na razie mówić za wiele o swoich planach, bo media nie dadzą mi spokoju.

To dopytam tylko o kierunek specjalizacji. Prawo rodzinne?

Na pewno także, ale dziedziną, w której chciałabym się specjalizować, jest prawo autorskie.

À propos paparazzich i tabloidów – ostatnio rozpisywały się o tym, jak to cierpi córka premiera, Kasia Tusk, bo dostaje obraźliwe SMS-y. Nawet sam Donald Tusk się wypowiadał...

Współczuję pani Katarzynie Tusk z powodu tego problemu.

A pani spotkała się z jakimiś groźbami? Wrogimi e-mailami?

Zdarzały się różne rzeczy. Ktoś nawet niedawno złożył zawiadomienie do prokuratury w związku z komentarzami na mój temat zamieszczanymi w Internecie. Były nie tylko mocno obraźliwe, ale można je było także poczytywać za nawoływanie do zrobienia mi krzywdy. Jednak staram się nie zwracać na to uwagi, komentarzy nie czytam, SMS-ami nie jestem nękana. A kiedy ktoś mnie rozpoznaje na ulicy i podchodzi porozmawiać, z reguły mam do czynienia z osobą sympatyczną i pozytywnie nastawioną, która chce się nieraz podzielić jakimś dobrym wspomnieniem o moich rodzicach.

Czytała pani książkę „Przemysł pogardy” Sławomira Kmiecika?

Kupiłam ją niedawno, z dużym opóźnieniem od premiery. Przeczytałam

■ kilkadziesiąt stron i musiałam ją odłożyć. To było dla mnie zbyt ciężkie przeżycie. Tym bardziej uważam, że moja książka o rodzicach była potrzebna. Oczywiście to nie jest tak, że sama musiałam mówić całą prawdę, bardzo wiele dla ukazania prawdziwego wizerunku taty zrobił wcześniej Sławomir Cenckiewicz z zespołem współpracowników, pisząc naukową biografię Lecha Kaczyńskiego. A ja postanowiłam przedstawić rodziców od strony prywatnej. Dlatego napisałam „Moich rodziców”. To nie jest książka biograficzna, tylko wspomnienie córki. Rodzice, jakimi ich całe życie widziałam. To nie jest książka dla mnie. Uznałam, że jestem wszystkim winna opowieść o tym, jacy naprawdę byli Maria i Lech Kaczyński. Przez wiele lat ich wizerunek był tak wykoślawiany, tak fałszowany, że musiałam zabrać głos.

Pogodziła się pani ze stratą?

Nigdy się nie pogodzi z tym, że straciłam rodziców w takich okolicznościach. Jednak jestem osobą wierzącą, człowiek pewne rzeczy musi po prostu zaakceptować, żeby sam mógł iść dalej. Myślę, że tego życzyliby sobie rodzice, tego wymagają ode mnie moje córki. Takie jest życie. Po prostu.

Często rozmawia pani z córkami o dziadkach?

Często. I nie są to rozmowy tylko z mojej inicjatywy. Ewa i Martynka same się o dziadków dopytują, w naszych rozmowach często przewijają się wspomnienia. Im córki są starsze, tym tych pytań jest więcej. I trudniejszych. Zwłaszcza u Ewy, która ma już 11 lat i jest dojrzałą dziewczynką. Potrafi logicznie myśleć i pewne pytania, także o okoliczności śmierci dziadków, nie dają jej spokoju, same się nasuwają. Jednak akurat na ten temat staram się z nią nie rozmawiać zbyt często, bo zdaję sobie sprawę z tego, jak traumatycznym przeżyciem, zwłaszcza dla Ewy, była strata moich rodziców. Nie chcę, żeby jej dzieciństwo było naznaczone tym cieniem. Czasu nikt nie cofnie, tego, co się stało, nie da się naprawić. Staram się z córkami wspominać to, co dobre: czas spędzony z dziadkami. Próbuję się podzielić z nimi tym, co ja sama otrzymałam od rodziców. Na to, żeby mierzyć się z tragedią, przyjdzie jeszcze czas, na pewno doświadczą tego jako dorosłe kobiety. Teraz muszą mieć przede wszystkim szczęśliwe dzieciństwo.

Ma pani w pokoju to zdjęcie, na którym pani tata siedzi na podłodze Pałacu Prezydenckiego i czyta Ewie bajki?

Tego akurat nie. Stoi w moim domu bardzo wiele innych zdjęć, dziewczynki mają u siebie zdjęcia i babci, i dziadka.

To zdjęcie zapamiętali na pewno wszyscy widzowie filmu dokumentalnego Marii Dłużewskiej „Córka”. Zdjęcia kręcone były sześć dni po katastrofie smoleńskiej. Zbierała pani wtedy w Pałacu Prezydenckim do kartonów rzeczy rodziców. Wszystkie udało się uratować?

Zabrałam z pałacu wszystkie osobiste rzeczy rodziców, wszystko to, co było w prywatnym apartamencie. Wywiozłam całą zawartość biblioteki ojca mieszczącą się w jednym z innych pomieszczeń...

Tym, w którym Lech Kaczyński lubił się zamykać, żeby słuchać muzyki?

Były dwie biblioteki. Ta, o której pan mówi, znajdowała się w części prywatnej pałacu, wypełniały ją takie wysokie przeszklone szafy i ojciec późnym wieczorem lubił tam czytać i słuchać muzyki. Była jednak jeszcze jedna biblioteka, za jego gabinetem. Wszystkie te rzeczy zabrałam, licząc na to, że pewnego dnia zostaną wyeksponowane w izbie pamięci albo w muzeum Marii i Lecha Kaczyńskich. Bardzo liczę na to, że kiedyś się uda taką placówkę otworzyć. Wiem, że w innych krajach organizacja tego typu miejsc leży w gestii państwa.

A u nas?

Jest, jak jest. Nikt w każdym razie nie proponował mi pomocy w stworzeniu takiej instytucji. Pozostaje mi liczyć na fundację, na Instytut Lecha Kaczyńskiego. Mam nadzieję, że z czasem nadejdzie czas także na takie upamiętnienie moich rodziców. W każdym razie ja niczego się nie pozbyłam, wszystkie rzeczy z pałacu są przechowywane. Chciałabym, żeby kiedyś były dla wszystkich zainteresowanych dostępne.

Wśród tych dokumentów i pamiątek szczególnie ciekawa byłaby nieznana dotąd książka Lecha Kaczyńskiego – to była praca naukowa, którą pisał w drugiej połowie lat 90.

Praca, której wydanie było warunkiem otrzymania przez niego tytułu profesora belwederskiego. Pamiętam, że ojciec pisał tę książkę, robił to ręcznie i potem oddawał do przepisania na komputerze. Na razie jest to praca w znacznej części zaginiona. Nie mam jej całego tekstu, nie wiem, kto ją przepisywał, i nie wiem, na czym twardym dysku może się dziś znajdować. Może dzięki publikacji mojej książki, a może dzięki temu wywiadowi ktoś się zgłosi po latach i uda się ją wydać?

Bardzo bym tego chciała. Pytałam wiele osób, ale na razie bez rezultatu.

Na pewno osobne miejsce w takim muzeum powinna mieć jakaś salka pokazująca wszystkie te miejsca, w których Polacy sami, nie oglądając się na władzę, postanowili upamiętnić pani rodziców. Są w Polsce ulice, ronda, pomniki, tablice poświęcone Lechowi Kaczyńskiemu. Nie wszyscy wpadli między żarna przemysłu pogardy.

Jestem bardzo wdzięczna za wszystkie te inicjatywy, szczególnie za tę, która pozwoliła nazwać imieniem rodziców szkołę podstawową w Podsarniu. Myślę, że Maria i Lech Kaczyński byli ludźmi, których postawy oraz życiorysy mogą być przykładem i drogowskazem na przyszłość dla kolejnych pokoleń. Bardzo cieszą mnie zwłaszcza takie zupełnie apolityczne inicjatywy, wychodzące prosto od ludzi, niezwiązane z żadną partią, żadnym samorządem, bez pretekstu w postaci nadchodzących wyborów. Niezwykle cenię filmy dokumentalne Joanny Lichockiej i Jarosława Rybickiego oraz Roberta Kaczmarka. Zawierają one niezwykle cenne materiały archiwalne, które najlepiej ukazują, jakim ojciec był człowiekiem, jakie były jego poglądy, jaką miał wizję Polski. Mam nadzieję, że w niedługim czasie uda się również zrealizować film poświęcony mojej mamie.

Po odwołaniu z funkcji prezesa NIK pani ojciec wrócił na uczelnię, do pracy naukowej. Wtedy właśnie powstała ta zaginiona książka, o której mówiliśmy. Czy takie miał także plany, na wypadek gdyby nie został ponownie wybrany na prezydenta Polski?

Taki właśnie miał plan B. Nawet rozmawiał o tym wstępnie z władzami jednej z warszawskich uczelni. To nie było tak, że druga kadencja albo nic. Całkiem realnie przygotowywał się także na wypadek porażki, planował wtedy pozostanie jeszcze przez jakiś czas w Warszawie i powrót do pracy naukowej. Jednak znając go, nie wyobrażam sobie, żeby tak całkiem zamknął się w gabinecie. Na pewno łączyłby to z aktywnością publiczną.

Był gotowy do walki o drugą kadencję? Chciał tego? Niektórzy sugerują, że był zmęczony funkcją głowy państwa, przytłoczony Pałacem Prezydenckim.

Naprawdę chciał walczyć. Projekt kampanii wyborczej był gotowy, plan wystąpień zatwierdzony. To nie uległo najmniejszej wątpliwości.

I wierzył, że może wygrać?

Tak. Ojciec nie był typem zawodnika, który się poddaje. Jego życiorys najlepiej

o tym świadczy. Nie rezygnował i się nie poddawał. A to, że wyolbrzymiano jakieś jego rzekome zmęczenie pałacem, to inna sprawa. Oczywiście ojciec nie był entuzjastą tego miejsca, tego splendoru, który otacza tę funkcję, nie to było dla niego najważniejsze, może czasem go troszeczkę uwierała ta klatka. Jednak coś za coś – i on to wiedział. Ja wiem, że dla niektórych ludzi to może być dziwne: traktować takie pozornie wygodne życie jako coś uciążliwego. Nie zmienia to jednak faktu, że tak było. Nie sądzę, by kiedykolwiek mogło być to przez niego rozważane jako przesłanka rezygnacji. Mimo bezprecedensowo nierzetelnego podejścia większości mediów do jego osoby chciał kandydować w kolejnych wyborach i chciał wygrać, by konsekwentnie realizować swój plan dla Polski. Zresztą wiem o sondażach, które pokazywały, że szanse na wygraną były.

Czyli był taki jak Maria Kaczyńska. Napisała pani, że mamę cechował „bezkompromisowy optymizm”.

Mama zawsze, niezależnie od sytuacji, widziała światło w tunelu. I miała takie podejście do ludzi, że zawsze starała się w nich widzieć te dobre cechy. Zawsze starała się zakładać dobrą wolę drugiego człowieka. Kiedy ojciec miał jakieś wątpliwości, mama czasem służyła jako taki nieformalny doradca. „Nie myśl tak czarno, Leszek” – powtarzała.

I często się zawodziła na tej swojej wierze w ludzi?

Na pewno rzadziej niż tato. Myślę, że miała lepszą intuicję w przypadku ludzi. Jednak w polityce nawet najlepsza intuicja potrafi zawodzić. Czasami ktoś, kto się wydaje naprawdę bliskim przyjacielem, może w pewnym momencie zawieść. W tym świecie – widać – działają jakieś inne zasady. Poza polityką moi rodzice mieli przyjaciół, z którymi byli blisko przez kilkadziesiąt lat, co najlepiej świadczy o tym, że z tą intuicją jednak nie było u nich najgorzej.

Kto zatem w tej chwili się do pani odzywa? Tylko prywatni znajomi rodziców czy jednak także ktoś, kogo poznali w polityce?

Przed wszystkim mam kontakt z tymi najbliższymi przyjaciółmi rodziców. Niektórzy z nich są także aktywni w po-

lityce. A także z tymi, którzy byli bliskimi współpracownikami mojego taty, jak Maciej Łopiński czy Andrzej Duda. I nie ogranicza się to do spraw oficjalnych. Takie relacje utrzymywał zresztą tato. Nigdy nie było tak, że łączyły go z kimś jedynie stosunki służbowe. Jeśli z kimś pracował, to zawsze starał się także być tej osoby przyjacielem lub znajomym. Nie był formalistą. Tato błyskawicznie zmniejszał dystans, nawet bardziej, niż można było się spodziewać.

Diennikarze także wiedzą to doskonale. Przyjeżdżało się do mieszkania pani rodziców na Powiśle, żeby nagrać 30 sekund wypowiedzi do serwisu informacyjnego, a siedziało się godzinę, piło herbatę, gadało o historii, kotach, polityce...

Tato po prostu taki był i uważam, że to była jego ogromna zaleta. Ludzie, którzy pracowali w kancelarii prezydenckiej od niepamiętnych czasów, mówili mi nieraz, że najlepiej wspominają współpracę z moim ojcem, bo był bezpośredni i szczery.

Uświadomiłem sobie właśnie, że chyba nikt nigdy nie zapytał o poczucie humoru pani ojca. Co go najbardziej bawiło?

Podarowałam mu kiedyś na święta zestaw płyt DVD z serialem „Kariera Nikodema Dyzmy”, lubił do niego wracać. W latach 80. regularnie oglądaliśmy całą rodziną Kabaret Olgi Lipińskiej, ale potem przestaliśmy, bo się zepsuł. W latach 90. rodzice wspólnie czytali „Pierwszą dekadę”, którą na łamach „Trybuny” publikował autor o pseudonimie Magda Cień. Oglądaliśmy „Polskie Zoo” i też się bardzo śmiał, mimo że ze stryjem byli tam przedstawieni jako chomiki. Do dziś zresztą się zastanawiam, dlaczego akurat jako chomiki.

Trzeba dopytać o te chomiki Marcina Wolskiego. Pozostając jednak przy rodzinnych sekretach – z książki „Moi rodzice” można się dowiedzieć także ciekawych rzeczy o pani. Szczególnie o czasie,

kiedy w latach 90. była pani zbuntowaną nastolatką.

Ostra muzyka, popalanie papierosów, dość oryginalne ubrania, anarchistyczne fanzyny. Tak było, ale niedługo.

Co wtedy najbardziej irytowało pani rodziców?

Ojciec podchodził do tego wszystkiego z dużym dystansem i pobłażliwością. Tak na mnie patrzył, jakby chciał powiedzieć: „No dobrze, Marta, przejdzie ci za jakiś czas”. Na pewno niektóre rzeczy w moim wyglądzie były dla nich nie do zaakceptowania.

Agrafka w uchu?

O tak, agrafka w uchu to było już coś poza progiem tolerancji. Czy moje włożenie się wieczorami. Rodzice bardzo się o mnie martwili, nawet jako starsza nastolatka musiałam pilnować, żeby być o odpowiedniej porze w domu. Zwłaszcza ojciec tego pilnował. Mama była tu czasem moim cichym sojusznikiem. Kiedy ojciec wyjeżdżał, pozwalała mi wracać później, a jemu nic nie mówiła. Mnie z kolei się zdawało, że dopiero po fakcie informowałam rodziców, że byłam na jakiejś manifestacji.

Manifestacji? Jakiejś anarchistycznej?

Chodziłam na przykład na manifestacje antyfutrzarskie czy przeciw tuczeniu gęsi. Poza tym czytałam wtedy Sławomira Mrożka, słuchałam polskiego rocka, przynosiłam dość dobre oceny. Chyba nie było ze mną problemów. Poza tym, że wyglądałam, jak wyglądałam.

Gdy miała pani 14–15 lat, był to akurat dobry czas na słuchanie polskiego rocka. Hey, Edyta Bartosiewicz...

Nawet do dziś lubię niektóre piosenki Hey z tamtego okresu. No i słuchałam wtedy w Trójce Jurka Owsiaka, jego „Róbtka, co chceta”. Moim rodzicom to się zdecydowanie nie podobało, a ja nie rozumiałam dlaczego. Dziś, z perspektywy czasu, doskonale wiem, na czym polegał mechanizm lansowania Owsiaka i czemu to służyło. Wtedy jednak Owsiak, Jarocin i wszystko, co się z tym wiązało, przemawiało także do mnie. Zresztą w 1991 r. pod moim wpływem rodzice zaangażowali się w Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Pamiętam, że nawet na pasku w telewizji gdańskiej podana była wtedy kwota, jaką wpłacił Lech Kaczyński. Z mojej inicjaty-

FOT. PIOTR NOWAK/FOTOCZERA.FORUM



Wy, oczywiście, bo byłam wtedy bardzo proorkiestrowa i proowskiowa.

Co ojciec pani czytał, kiedy była pani mała?

Najbardziej lubiłam, kiedy czytał mi na głos o przygodach Mary Poppins. Przeczytał mi wszystkie części. I „Kubusia Puchatka”, i „W pustyni i w puszczy”. Taki rodzaj książek. Z najwcześniejszego dzieciństwa pamiętam, że uwielbiałam, kiedy czytał mi „Agnieszka opowiada bajkę” Joanny Papuzińskiej. Wielokrotnie do niej wracaliśmy, a ja za każdym razem tak samo przeżywałam nieszczęście kotka, który nie mógł znaleźć swojej mamy.

Czytał tak po prostu czy próbował odgrywać na głosy?

Nie, nie czułam w sobie aktorskiego powołania. Po prostu czytał. Mama też nie miała takich zapędów. Choć może ojciec powinien. Jednak – jak wiadomo – jego kariera w filmie ograniczyła się do jednej roli, po której postanowił zostać politykiem, to zabawne.

Czyta pani córkom te same książki?

Bardzo dużo czytałam Ewie, która dziś już robi to sama. Martynce trochę mniej, nad czym boleję, zawsze przy drugim dziecku jest nieco inaczej. I muszę jakoś tak się przeorganizować, żeby mieć na to więcej czasu. Jednak rytuał jest zachowany – zawsze przed pójściem spać jest czytanie.

Oglądała pani już film „Powstanie warszawskie”?

Jeszcze nie. Dopiero się wybieram i zastanawiam się, czy mogę zabrać na seans córki. Martynka chyba jest jeszcze za mała.

Rozmawialiście w domu o powstaniu i o tym, że brał w nim udział pani dziadek, Rajmund Kaczyński?

Nigdy nie było rozpamiętywania. Dziadek Rajmund był osobą, która niespecjalnie dużo lubiła opowiadać. Myślę, że tak jak wielu ludzi, których dotknęła trauma II wojny światowej, nie bardzo chciał o tym mówić. Mnie zawsze zastanawiało, jak dziadek radzi sobie, nie mając jednego kciuka – wiedziałam, że stracił go w powstaniu.

Warszawa to miejsce, gdzie pani dorastała, ale to także miejsce wielkiej traumy. Kwiecień 2010 r., powitanie trumien z ciałami rodziców na Okęciu, żałoba na Krakowskim Przedmieściu. Nie został w pani po tych dniach jakiś uraz do stolicy?

Nie. Wręcz przeciwnie. To także moje miasto rodzinne, które zawsze będzie mi się kojarzyć z rodzicami. Z tamtym kwietniem także, oczywiście. Przechodzę czasem obok pałacu, choć wyznam, że jeśli mogę tego uniknąć, to to robię. Jednak Warszawę bardzo lubię i wielokrotnie my-

ślałam, że dobrze byłoby, żebym mieszkała w Warszawie, także dla mojej działalności związanej z upamiętnieniem rodziców. Dla dziewczynek jednak lepsze jest w tej chwili Trójmiasto, to nasz ośrodek życia rodzinnego.

Wracając do tamtych dni żałoby na Krakowskim Przedmieściu – w telewizji nawet podczas uroczystości rocznicowych pokazuje się co najwyżej wrak tu-polewa. Brak archiwalnych zdjęć tłumów oddających hołd parze prezydenckiej w Warszawie, nie ma ujęć tłumów biorących udział w pogrzebie w Krakowie.

Ktoś się widocznie boi tego, że w tamtych dniach Polacy byli naprawdę zjednoczeni, i to wokół innych symboli, innych ludzi, niż chciałyby wpływowo media. Że razem przeżywali te dni ludzie o różnych poglądach, niekoniecznie zwolennicy mojego ojca. Stali wtedy w tej gigantycznej kolejce, żeby pożegnać rodziców. Początkowo myślałam, że może przyszli z ciekawości. Potem zdałam sobie jednak sprawę, że stali tak wiele godzin w tej kolejce, że niektórzy stali w niej po dwa razy... Zrozumiałam wtedy, że to prawdziwy hołd. To wszystko było nie na rękę obecnym władzom, to było nie na rękę tym, którzy rozpętały pod pałacem wojnę o krzyż. Nie chcą, by przypomniano o tamtej jedności, którą wywołała śmierć moich rodziców i pozostałych ofiar katastrofy smoleńskiej.

Wiele razy spekulowano w mediach, czy nie będzie pani chciała się zaangażować w politykę. Dementowała pani to wielokrotnie, ale pod koniec książki „Moi rodzice” pojawia się deklaracja, że nie jest to niemożliwe.

Może przyjąć taki czas, kiedy będzie trzeba powiedzieć: „Wszystkie ręce na pokład”. Nie potrafię powiedzieć, kiedy ten moment nadejdzie, ale nie mogę tego wykluczyć. Zostałam tak wychowana, że nie tylko trzeba myśleć o sobie i własnym życiu, ale także zrobić coś dla innych. Czas pokaże, czy się zaangażuję, czy nie, ale na pewno jeszcze teraz to nie jest właściwy moment.

Czy po 10 kwietnia 2010 r. miała pani okazję rozmawiać osobiście z Donaldem Tuskiem albo z Bronisławem Komorowskim?

Z panem Donaldem Tuskiem nie miałam okazji rozmawiać. Z prezydentem Komorowskim rozmawiałam raz, ale nie chcę szerzej o tej rozmowie mówić... Cóż, wszystko, co się wydarzyło po tamtej naszej rozmowie,

pozwała mi tylko na stwierdzenie: żałuję, że zgodziłam się na to spotkanie. To było kilka dni po katastrofie. I do dziś się zastanawiam, czemu miało służyć to spotkanie.

A odzywał się do pani po katastrofie ktoś z tych polityków, których pamięta pani jeszcze z dawnych czasów? W książce „Moi rodzice” wspomina pani, jak w sopockim mieszkaniu na sofie waletowali Barbara Labuda czy Władysław Frasyniuk. Wpadł Jan Krzysztof Bielecki. Przyszło komuś do głowy zadzwonić i powiedzieć choćby: „Marto, jak się trzymasz?”

Po mszy w intencji ofiar katastrofy w Warszawie spotkałam pana premiera Tadeusza Mazowieckiego, uściśnął mi dłoń i złożył kondolencje... Jednak też z wielką radością polityków poznanych w tamtych latach nie utrzymywałam potem jakichś bliskich relacji. Jedni dzwonili, inni nie dzwonili.

We wstępie do książki napisała pani szokujące zdanie o 10 kwietnia 2010 r.: „Tego dnia nikt oficjalnie nie poinformował mnie o śmierci moich rodziców”.

Tak było. 10 kwietnia panował chaos. Byłam przekonana, że jeśli ktoś coś wie, to na pewno Biuro Ochrony Rządu, że to przecież sprawna służba. Chwyciłam za słuchawkę, próbowałam się dodzwonić. Panowie wiedzieli mniej więcej tyle co ja z telewizji. Dzień po katastrofie sama pojechałam z mężem do Warszawy, żeby być na Okęciu wtedy, kiedy wróci ciało mojego taty. Pojawiłam się w pałacu, pracownicy kancelarii zorganizowali nam samochód, żebyśmy szybko dojechali na lotnisko. Pamiętam, że zastanawiano się wtedy, czy BOR może ze mną jechać, czy nie. Ostatecznie pojechał z nami kierowca z Kancelarii Prezydenta. Na miejscu była ówczesna wicemarszałek Sejmu pani Ewa Kierzkowska, uściśnęła mi dłoń, złożyła kondolencje, i to wszystko. Państwo zdało egzamin.

Czy ślubna obrączka pani ojca, ta, którą czasami zdarzało mu się gubić, którą kiedyś znalazła pani dla niego pod krzesłem... Czy ona wróciła wraz z rzeczami pani rodziców po katastrofie?

Niestety nie. Nie odnalazła się. Przypuszczam, że nadal leży gdzieś w ziemi pod Smoleńskiem. •



MARTA KACZYŃSKA,
DOROTA ŁOSIEWICZ
„MOI RODZICE”
THE FACTO

Z prof. Bogdanem Chazanem, ginekologiem, zwolnionym z pracy dyrektorem Szpitala św. Rodziny



rozmawia Tomasz P. Terlikowski

TOMASZ P. TERLIKOWSKI: Czuje się pan profesor Szawłem, św. Pawłem ruchu pro-life?

PROF. BOGDAN CHAZAN: Rzeczywiście czasem tak się czuję, ale raczej w kwestiach prywatnych niż w dziedzinie pro-life. Wcześniej nie śmiałem porównywać się do tej postaci, ale zwrócił mi na to uwagę dr Robert Walley. Kiedy przedstawiałem mu swoje wątpliwości odnośnie do mojej pracy jako przewodniczącego rady założonej przez niego organizacji katolickich lekarzy MaterCare International, on – by mnie uspokoić i przekonać – odwołał się do św. Pawła.

Miał pan więc wątpliwości co do zaangażowania się w ruch pro-life?

Kilkakrotnie chciałem się wycofać. Mam świadomość własnej przeszłości. Czasem zresztą jest mi to przypominane. Początkowo miałem poczucie, że ta przeszłość mnie jakoś wyklucza ze społecznego zaangażowania się w obronę życia, ale rozmawiałem o tym kilkakrotnie z księdzem arcybiskupem Majdańskim i on mnie przekonywał, że powinienem, że muszę to robić nadal.

A można porównać pana drogę do drogi dr. Bernarda Nathansona, amerykańskiego propagatora aborcji i aborcjonisty, który później przeszedł na stronę pro-life i stworzył między innymi film „Niemy krzyk”?

Nie byłem Nathansonem. Nie przeprowadzałem aborcji ani tak długo, ani tak często. Robiłem to tylko w okresie, gdy pracowałem na oddziale ginekologii Szpitala Wolskiego, a do tego nigdy nie byłem czołowym aborterem, raczej jednym z wielu.

Aborcje pan profesor jednak wykonywał?
Tak.



Myślę o dzieciach, które nie



narodziły się przeze mnie

Wie pan mniej więcej ile?
Może 500.

Myślał pan profesor kiedyś o tym, kim mogłyby być te dzieci?

Tak... Nie były to łatwe przemyślenia...

Miał pan wtedy wątpliwości?

Czasem przychodziły, ale proszę pamiętać – chociaż proszę nie traktować tego jako usprawiedliwienia – że to były inne czasy. Większość lekarzy nie miała wówczas wątpliwości. Oczy mnie i wielu innym lekarzom otworzyła dyskusja na temat ustawy o aborcji, która odbyła się przed 1993 r.

I wtedy pan zrezygnował z aborcji?

Z wykonywania ich zrezygnowałem już wcześniej. Wtedy jednak zaczęła się budzić we mnie mocna świadomość tego, czym jest aborcja. Wcześniej ulegałem powszechnej atmosferze, wedle której to był po prostu zabieg.

Chodzi panu profesorowi tylko o lekarzy czy także o pacjentki?

O pacjentki również. Kiedyś, gdy przeprowadzaliśmy wywiad położniczy, kobiety nie miały żadnych oporów przed ujawnianiem tego, ile miały aborcji. Dziś to nie do pomyślenia. Kobiety o tym nie mówią. Zapewne są dwie przyczyny takiej postawy: po pierwsze, przypadków aborcji jest zdecydowanie mniej, a po drugie, aborcja jest jednak kwestią wstydliwą.

A do tego aborcja jest, wedle polskiego prawa, przestępstwem.

To też, ale nie w każdym przypadku.

Jak do aborcji podchodzili lekarze, którzy przecież musieli wiedzieć, na czym polega ów zabieg?

To nie jest takie proste. A żeby to zrozumieć, muszę opowiedzieć, jak wówczas wyglądała praca ginekologa na oddziale w Szpitalu Wolskim. Tam były przysyłane pacjentki na zabieg aborcji z zaświadczeniami od lekarzy rejonowych, przyjmowano je w izbie przyjęć, wykonywano aborcję i następnego dnia wypisywano je do domu.

Ile było dziennie takich aborcji?

Pięć, sześć, siedem.

I codziennie wykonywała je ta sama osoba?

Nie. Rano dokonywano podziału obowiązków. Ten szedł na izbę przyjęć, tamten na blok operacyjny, a jeszcze ktoś inny przeprowadzał aborcję. Ja w pewnym momencie miałem dość i także dlatego przeniósłem się z oddziału

ginekologii Szpitala Wolskiego do kliniki położnictwa Instytutu Matki i Dziecka. Tam miałem innego szefa, prof. Troszyńskiego, i to on wprowadził mnie w zupełnie nową atmosferę, zacząłem inaczej postrzegać aborcję.

Pana szef nie akceptował aborcji?

Tak. On nas nie indoktrynował, to byłoby wbrew jego naturze, ale raczej oddziaływał na nas swoim przykładem. Pamiętam awanturę, jaką zrobił koleżance, która podczas jednej z odpraw na jego pytanie, co należy zrobić, gdy zgłasza się kobieta w ciąży, odpowiedziała: „Przed wszystkim zapytałabym, czy chce donosić ciążę”. On się wtedy bardzo zdenerwował. Nie był w stanie tolerować takiej odpowiedzi. I tak nas wychowywał. Teraz to się wydaje oczywiste, ale wtedy to wcale takie nie było.

A czy w tamtych czasach ginekolog wykonujący aborcję mógł rzeczywiście nie wiedzieć, co robi? Mógł sądzić, że usuwa jedynie zbitkę komórek?

Niezupełnie. W czasie aborcji po dziewiątym tygodniu ciąży było widać frag-

menty ciała dziecka. Jednocześnie jednak nie mieliśmy takiej jak obecnie świadomości pełnego człowieczeństwa zabijanego dziecka. Jednym z powodów był brak USG. To oczywiście bardziej wyjaśnia postawę zwykłych ludzi niż lekarzy.

Jak tłumaczyli to więc sobie lekarze?

O tym się nie rozmawiało. Tematyka etyczna – zarówno wówczas, jak i teraz – nie była obecna w naszych rozmowach ani nawet na zjazdach lekarskich. Myślę, że większość z nas ten temat wypierała ze swojego myślenia. I mam wrażenie, że obecnie jest podobnie.

Jak to się stało, że pan, chłopak z dużej rodziny z Lubelszczyzny, został lekarzem?

Brat mojego ojca był lekarzem. I gdy do nas przyjeżdżał z żoną z Gdańska, gdzie ukończył uczelnię, opowiadał o studiach, o kolegach, o pracy. Te opowieści mnie zafascynowały. Często z nim rozmawiałem, przeglądałem podręczniki, i zapewne wtedy pojawiło się marzenie o medycynie.



A dlaczego ginekologia?

Kiedyś na studiach ginekologicznych i położniczych uczyło się w specyficznym sposobie, czyli w tzw. internacie. Wysłano nas na Karową, zamykano na tydzień i nie można było wówczas stamtąd wyjść. To było wyjęcie nas na jakiś czas z normalnego świata i wrzucenie na głęboką wodę medycyny, ale miało to też urok swobodnego romantyzmu. I chyba wtedy zafascynowało mnie położnictwo, choć długo nie wierzyłem, że będę wykonywał akurat tę specjalizację. Pracowałem w Skierniewicach, chciałem się specjalizować w laryngologii, neurologii, aż w końcu zaproponowano mi ginekologię oraz położnictwo i to stało się realizacją moich marzeń.

I nie było wówczas dla pana przeszkodą, że na tej specjalizacji trzeba będzie wykonywać aborcję?

Nie miałem wówczas świadomości, że to jest problem.

Był pan profesor wówczas wierzący?

Tamta wiara, jak ją widzę teraz, była ułomna, niekompletna, ale zawsze była.

Nigdy nie przestał pan wierzyć?
Nigdy.

Medycyna nie odciągnęła pana profesora od wiary?

Medycyna nie odciąga od wiary i Boga, wręcz przeciwnie. Lekarz ma na co dzień kontakt z ludzkimi problemami, z rodzeniem się i śmiercią. Nasza praca jest obcowaniem z perspektywą śmierci i umierania. To w naturalny sposób kieruje nas ku pytaniom o sens życia, cierpienia, a także o to, co jest po drugiej stronie, o perspektywę życia wiecznego. Zwyczajni ludzie chodzący po ulicach wypierają świadomość, że kiedyś przyjdzie moment śmierci, a lekarz wciąż na nowo jest konfrontowany z tym faktem. I w tym sensie medycyna zbliża do Boga, bo uświadamia, że nasze bytowanie na ziemi jest tymczasowe.

A współczesna medycyna też tak działa? Ja mam wrażenie, że ona się strasznie technicyzowała i rezygnuje z tego zakorzenienia w myśleniu humanistycznym, o którym pan profesor mówi.

Zdarza mi się rozmawiać na ten temat

z młodymi lekarzami i oni coraz częściej uznają, że medycyna to zawód taki jak każdy inny. Chodzi się do pracy, dostaje urlop, pobiera pensję. Ja się z tym jednak nie zgadzam. Dla mnie bycie lekarzem jest powołaniem, które stawia ważne wymagania osobie wykonującej ten zawód. Nie wolno popadać w rutynę, uznać, że można narzucać swoje zdanie, kierować czyjś losem, trzeba się pochylić nad cierpieniem.

Czyli w pewnym sensie medycyna jest sztuką?

Sztuką kontaktu z cierpiącym, chorym, zagubionym człowiekiem, która jest uzupełniona nowoczesną diagnostyką, umiejętnościami znajdowania rozwiązań, wiedzą na temat skutecznego leczenia. Tyle że student medycyny czy młody lekarz często tego nie rozumieją, do tego trzeba dorosnąć, dojrzeć.

A uniwersytety medyczne tego nie uczą?

Niestety nie. Każdy musi zdobyć tę umiejętność sam. A szkoda, bo młodemu lekarzowi wykłady z socjologii, psychologii, etyki, ale nie postmodernistycznej, z pewnością pomogłyby wejść w zawód.

Powiedział pan profesor, że był człowiekiem wierzącym. A jak było z praktykami?

Praktykowałem. Nigdy nie było w moim życiu czasu, gdy nie praktykowałem.

Młodzi lekarze coraz częściej uznają, że medycyna to zawód taki jak każdy inny. Dla mnie bycie lekarzem jest powołaniem

A jednocześnie wykonywał pan aborcję?
Tak.

Wiedział pan, że to sprzeczne z nauczaniem Kościoła?

Widzę, że pan redaktor coraz bardziej stosuje technikę przesłuchania, ale nie szkodzi, idziemy dalej w zeznaniach. Wiedziałem, choć wtedy nie stawiano tego problemu tak ostro, a może ja nie chciałem tego tak dobrze słyszeć. Teraz często widzę, jak to samo robią moi młodszy koledzy po fachu, którzy – choć twierdzą, że są wierzący – też nie chcą słyszeć tego, co Kościół mówi o in vitro, antykoncepcji czy aborcji. Widzę, jak w szpitalu, w którym pracowałem jeszcze niedawno, część lekarzy, także tych wierzących, obawiając



■ się zwolnienia z pracy czy kłopotów, idzie na kompromis i bierze udział w aborcji. Gdy się o tym dowiedziałem, był to dla mnie wstrząs, ale ja kiedyś też zachowywałem się podobnie. Chciałbym ich zachęcić, by się nie poddawali.

I cały czas normalnie się pan modlił, chodził do kościoła?

Zawsze byłem solidarny z Kościołem, broniłem go, sprzeciwiałem się komunistycznym akcjom wymierzonym w Kościół.

Nie był pan w PZPR?

Nie. Dzięki wychowaniu mojej mamy byłem zawsze antykomunistą. Młode pokolenie nie pamięta czasów, kiedy panowała cenzura, można było mówić i pisać wyłącznie w sposób zatwierdzony przez władzę. Teraz cenzurę zastąpiła poprawność polityczna, podobnie restrykcyjna i podobnie bezsensowna.

Gdy lewica się o panu wypowiada, poza przywoływaniem przeszłości aborcyjnej zarzuca panu jeszcze rozwód. To prawda?

Mogę powiedzieć tylko tyle, że jestem pogodzony z Bogiem i zasadami Kościoła. I pojednany z ludźmi.

Wróćmy jeszcze do momentu przejścia na stronę pro-life. Wspomniał pan o przejściu do kliniki położnictwa i mocnych wpływach prof. Troszyńskiego. Od tego momentu nie wykonywał już pan profesora aborcji?

Kilka razy pewnie jeszcze wykonałem, ale działało się to o wiele rzadziej. Dobrze pamiętam swoją ostatnią aborcję, pod koniec lat 80. Zgłosiła się do mnie koleżanka anestezjolog z prośbą, żeby przeprowadzić aborcję u pacjentki, bo ona ma wadę serca i boi się śmierci. Bardzo to przeżyłem i wówczas postanowiłem, że już nigdy więcej tego nie zrobię.

To była ostatnia aborcja. Kiedy dokonało się przejście intelektualne na drugą stronę?

Myślę, że to był rok 1992. Służbowo – delegowany z Instytutu Matki i Dziecka – uczestniczyłem wtedy w debatach nad aborcją w polskim Sejmie. To wówczas sformułowaliśmy z prof. Troszyńskim wspólną opinię, która obalała szeroko kolportowany mit, że jeśli zakaże się aborcji z powodów społecznych, to pojawi się ogromne podziemie aborcyjne i duża liczba zgonów kobiet z powodu źle przeprowadzanych aborcji. Ważnym momentem był dla mnie również ten, gdy pani senator Alicja Grzeškowiak wystąpiła do rzecznika praw dziecka z prośbą o obronę praw najmniejszych, nienarodzonych osób.

A Jan Paweł II?

Jego wpływ był ogromny. Zaczęło się od pierwszej wizyty w Polsce w 1979 r., to był dla mnie czas przełomu. Pamiętam, z jaką dumą nosiłem znaczek z jego wizerunkiem w klapie. I pamiętam, że słuchałem tych homilii, starałem się je zrozumieć, a one wpływały na moje życie, przemieniając je.

Czy decyzja o zaprzestaniu przeprowadzania aborcji wiązała się również z decyzją o zaprzestaniu wypisywania recept na środki antykoncepcyjne?

To przyszło trochę później. Udowodniono wczesnoporonne działanie pigułek antykoncepcyjnych.

A tego nie wiedzano od momentu, gdy pojawiły się pigułki?

Podstawowym argumentem przeciwko antykoncepcji była i jest nadal ingerencja w przebieg aktu małżeńskiego, oddzielenie go od płodności. Świadomość działania antyzagrożeniowego pojawiła się później. I początkowo nie chciano w to wierzyć. Gdy napisałem tekst o wczesnoporonnym działaniu wkładek wewnętrznych, pojawiły się głosy sprzeciwu. A i teraz informacje o wczesnoporonnym działaniu pigułki z trudem przebijają się do świadomości lekarzy. Lekarz identyfikujący się z wiarą nie powinien przepisywać środków antykoncepcyjnych. Lekarze katoliccy w Polsce to akceptują, za

Spotykam pacjentki, od których lekarze i położne mogą się uczyć wiary, miłości, oddania, najwyższego poświęcenia dla drugiego człowieka

granicą jest różnie. Jest to powód trudności w założeniu w Stanach Zjednoczonych organizacji ginekologów MaterCare, ponieważ warunkiem członkostwa w niej jest właśnie nieprzepisywanie antykoncepcji.

W tej chwili część ginekologów też nie uznaje, że antykoncepcja ma działanie wczesnoporonne, bo ich zdaniem ciąża zaczyna się od momentu zagnieżdżenia się zarodka w macicy...

To tylko manipulacja, którą posługuje się WHO, by przesłonić fakty. Bądźmy jednak poważni: każdy ginekolog ma świadomość, że nie jest istotne, kiedy zaczyna się ciąża, ale kiedy zaczyna się człowiek.

A tu nie ma wątpliwości, tym momentem jest poczęcie, a nie zagnieżdżenie. I nie sądzę, by na poważnie można było używać argumentu o początku ciąży jako moralnego usprawiedliwienia mechanizmu przeciwnagnieźdzeniowego antykoncepcji hormonalnej.

A kiedy pojawiła się świadomość, że antykoncepcja negatywnie wpływa na stan zdrowia kobiet?

Myślę, że akurat to wiadomo od początku. Lekarze – ale także kobiety – mieli świadomość, że może ona wywoływać zawał serca, udar mózgu, nowotwory i inne schorzenia, szczególnie w połączeniu z papierosami. Mówiło się też o śmiertelności kobiet związanej ze stosowaniem antykoncepcji.

I nie wpływało to na przepisywanie środków antykoncepcyjnych kobietom?

Nie, bo nie wiązano tych kwestii z fundamentalną zasadą etyczną „primum non nocere”. A do tego lekarze często nie uświadamiają sobie, że wskazaniem do stosowania tych środków nie jest dobro pacjenta, jego zdrowie, które usprawiedliwia przy stosowaniu innych leków ich skutki uboczne, ale wyłącznie wygoda kobiety czy wolne od stresu współżycie seksualne. Trudno uznać, że łatwiejsze podobno życie, wygoda czy zadowolenie seksualne mają usprawiedliwiać dramatyczne, niekiedy śmiertelne skutki uboczne antykoncepcji. Lekceważenie w praktyce medycznej ubocznych skutków antykoncepcji ma również wpływ na to, że coraz częściej lekarze uznają, iż są całkowicie zależni od pacjentów. Jeśli pacjentka chce antykoncepcji, to ginekolog ma jej ją przepisać. Tyle że nie taka jest rola lekarza.

Jak pacjentki zareagowały na to, że przestał pan profesor przepisywać środki antykoncepcyjne?

Normalnie. One wiedziały, jakie mam poglądy, i te, które chciały antykoncepcji, do mnie nie przychodziły.

Powiedział pan w wywiadzie dla „Do Rzeczy”, że całą przeszłość zawierzył pan Miłosierdziu Bożemu.

Bo tak jest.

Otacza pan Miłosierdzie Boże szczególnym kultem?

Tak. Ja to Miłosierdzie odczułem w sposób bardzo namacalny, dosłowny, do końca. I to ma bardzo proste przyczyny: gdy komuś wiele wybaczone, wtedy wdzięczność jest ogromna. Tego, co przeżyłem w Bliznem, u siostr zawierzanek, nie da

się opisać. To był wstrząs, który zmienił cały mój świat. Klimat tego miejsca, osobowość ojca Bronisława Mokrzyckiego SJ – to wszystko budowało ten szczególny moment doświadczenia przeze mnie wielkości Miłosierdzia Bożego.

A widział pan profesor cuda?

Tak. Pamiętam dziewczynę, którą skierowano na zabieg aborcji. Miała zapalenie wątroby, to była rzeczywiście sytuacja, w której ciąża mogła zagrażać jej życiu. Jej stan był ciężki, a ona – choć była nastolatką – błyskawicznie dojrzała jako kobieta i matka. Choć skierowano ją do aborcji, to odmówiła jej. Mówiła, że chce urodzić swoje dziecko. Jej ojciec był bardzo zdenerwowany, krzyczał na nas, lekarzy, dzwonił do nas, wymyślał nam od najgorszych, ale ona była nieugięta. Dziecko się urodziło, ona żyje. I to był, z punktu widzenia medycyny, niewątpliwie cud. Ja z takimi cudami się spotykam. Spotykam pacjentki, od których lekarze i położne mogą uczyć się wiary, miłości, oddania, najwyższego poświęcenia dla drugiego człowieka. Święta Gianna Beretta Molla, matka i lekarka, która wolała umrzeć, niż poddać się aborcji, ma naprawdę wiele naśladowczyń. To są anonimowe święte, które umacniają swoim postępowaniem lekarzy. My się naprawdę wiele uczymy od swoich pacjentek.

Ta dziewczyna przeżyła. Spotkał pan profesor taką polską Gianne Berettę Mollę, która dla dziecka oddała życie?

Jedną taką historię znam. Kobieta zmarła z powodu wady serca. To jednak było dawno, na początku lat 80. Później nie zetknąłem się ze zgonem matki podczas ciąży i porodu, ale wielokrotnie byłem świadkiem niezwyklej dzielności matek, które miały ciężkie powikłania położnicze. Z podziwem obserwowałem ich determinację, gotowość do najwyższych poświęceń dla dobra dziecka, jego życia. Razem z nimi i jej mężami dziękowaliśmy później Bogu. Takie sytuacje tworzą więzy, które trwają... Czy może być wspanialsza specjalność lekarska niż położnictwo?

Środowiska feministyczne są przeciwnego zdania i zapewniają, że gdy tylko aborcja przestanie być legalna w przypadku zagrożenia życia matki, natychmiast zaczną ginąć setki kobiet...

To nieprawda. Zgony z powodu chorób, które poprzedzają ciążę, a których przebieg ciąża nasila, to absolutna rzadkość. Postęp medycyny pozwala pomóc większości takich kobiet. Najnowsze badania pokazują też, że ciąża wcale

nie wpływa tak dramatycznie, jak niegdyś sądzono, na przebieg nowotworów, choćby raka piersi. Opowieści feministek to zatem zwyczajna ściema, a nie rzeczywiste niebezpieczeństwo.

Co dalej z panem profesorem?

Nie wiem. Jestem zmęczony fizycznie i psychicznie. Żał mi Szpitala św. Rodziny. W ciągu 10 lat powstała piękna placówka ceniona przez pacjentki. Na razie jestem na przymusowym urlopie, potem dwa miesiące nadal będę związany umową, ale zwolniony z obowiązku pełnienia pracy. I zastanawiam się co dalej. Mam szansę wrócić na poprzednie stanowisko. Otrzymałem też kilka propozycji ordynatury na oddziałach ginekologiczno-położniczych, pracy na uniwersytecie medycznym poza Warszawą czy w kilku innych miejscach w Warszawie. Będę miał co robić. Od roku pracuję na Wydziale Nauki o Zdrowiu Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, tam też powstanie za rok Wydział Lekarski.

Media podawały, że zastanawia się pan nad wyjazdem za granicę?

Nic o tym nie wiem.

Do Kenii pan profesor nie jedzie?

Jadę, ale nie na stałe, lecz jedynie po to, by dopilnować działalności MaterCare International. Nie radzimy sobie tam z kenijskim odpowiednikiem NFZ. Przyczyny nie są więc ideologiczne, lecz finansowe. Żeby nasz szpital położniczy mógł tam dobrze funkcjonować, trzeba wręczać łapówki, a my nie mamy ich jak zaksięgować i nie chcemy ich dawać.

A do polityki pana profesora nie ciągnie?

Zawsze interesowałem się polityką. Im dalej od lewicy, tym lepiej.

Ja mówię o zaangażowaniu w politykę...

Emocjonalnie jestem w nią bardzo zaangażowany. Antykomunistycznie.

To może trzeba wystartować w wyborach?

O tym nie myślałem.

A gdyby pojawiła się propozycja?

To zależy. Mnie nie chodzi o funkcje czy stanowiska, ale o to, by móc realnie działać na rzecz wartości, które są mi bliskie. Gdybym mógł to robić, to poważnie rozważyłbym taką możliwość.

Mam nadzieję, że odpowiednie partie to usłyszają...

To może nie być takie proste, biorąc pod uwagę treść powyższych zeznań.

Wierzy pan w ostateczne zwycięstwo opcji pro-life?

W krótkim terminie, za mojego życia, nie, ale przyjdzie czas opamiętania i ludzie stwierdzą, że nie można budować własnego szczęścia, własnej przyszłości, przyszłości rodziny na śmierci niewinnych i najsłabszych. Moralne rozprężenie, nieład społeczny były powodem upadku niejednego imperium i myślę, że – jeśli nasza cywilizacja ma przetrwać – taki moment opamiętania nadejdzie. A Polska ma tu do odegrania ogromną rolę.

Co miałyby być początkiem tego opamiętania?

Przede wszystkim pragnienie życia zgodnego z wolą Boga. Powstanie obawa przed genetyczną eugeniką. Za kilka lat, jeśli tego nie zatrzymamy, bogaci ludzie, posługując się diagnostyką preimplantacyjną, będą mogli sobie zafundować na szkłe doskonałe genetycznie potomstwo, które będzie żyło 120, 130 lat i będzie odporne na wszelkie choroby. To byłoby złamanie zasady równości i prowadziłyby do powstania dwóch klas ludzi: tych mądrych, zdrowych, zmodyfikowanych i grupy podludzi genetycznie niepoprawionych. I nie wierzę, że osoby, które opierają się na zasadach logiki, sprawiedliwości i rozsądku, mogą do tego dopuścić. Zaczną szanować prawo naturalne, które tkwi w każdym z nas i które wyprowadzi nas ku normalności. Ono będzie zarzewiem buntu. Na małą skalę obserwujemy to już teraz.

Obawia się pan profesor śmierci?

Kiedyś się bałem, a teraz jestem z nią pogodzony. Im bliżej niej jestem, tym mniej się obawiam. Pamiętam, że kiedy umarła moja mama, spędziłem przy niej całą noc. Ona leżała w odkrytej trumnie, a ja spałem na łóżku stojącym obok. Bardzo spokojnie i długo – tak jak przy matce kiedyś. Uświadomiło mi to, czym jest śmierć: to spokojne przeniesienie się do innego świata. Chciałbym też jednak, żeby i moi najbliżsi nie bali się mojej śmierci, by wiedzieli, że jest ona wpisana w nasz los. Nie ma sensu buntować się przeciwko niej.

A Boga się pan profesor boi?

Nie bardzo. On jest Miłosierdziem! •



TOMASZ P. TERLIKOWSKI SPOTKA SIĘ Z CZYTELNIKAMI „DO RZECZY” NA PROFILU NASZEGO TYGODNIKA NA FACEBOOKU W ŚRODĘ, 13 SIERPNIA, O GODZ. 16. WWW.FACEBOOK.COM/TYGODNIKDORZECZY

W ubiegłym roku
przekazałem
funkcjonariuszom ABW,
a potem CBA z delegatur
we Wrocławiu informacje,
że w warszawskich
restauracjach nagrywane
są najważniejsze osoby
w państwie
– mówi „Do Rzeczy”
Marek Falenta

Służby od ubiegłego roku wiedziały o nagraniach



Cezary Gmyz

Dziennikarskie śledztwo „Do Rzeczy” podważa aktualną wersję prokuratury i służb specjalnych w sprawie afery podsłuchowej. Jak wynika z naszych ustaleń, służby specjalne mogły zapobiec kompromitacji najważniejszych organów państwa, ale tego nie zrobili

Pod znakiem zapytania staje teza, że inicjatorem potajemnych nagrań polityków w warszawskich restauracjach był biznesmen Marek Falenta. Prokuratura zabezpieczyła jego skrzynkę e-mailową, w której znajduje się jego korespondencja z funkcjonariuszami Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Sam biznesmen w rozmowie z „Do Rzeczy” twierdzi zaś stanowczo, że o procedurze nagrywania obie służby powiadomił już w ubiegłym roku.

– Istotnie, już w ubiegłym roku przekazałem funkcjonariuszom ABW, a potem CBA z delegatur we Wrocławiu informacje, że w warszawskich restauracjach nagrywane są najważniejsze osoby w państwie – mówi „Do Rzeczy” Marek Falenta. Dodaje, że po zapoznaniu się z materiałem dowodowym w prokuraturze ujawni szczegóły tych informacji śledczym. – Służby specjalne interesowały się moimi firmami od mniej więcej 10 lat, kiedy rozkręcałem Electusa i współpracowałem z KGHM – mówi Falenta.

Jak się jednak okazało, przekazane przez niego informacje nie zostały wykorzystane, a co gorsza – funkcjonariuszom ABW nakazano wygasic zainteresowanie.

– Oficera z ABW ta informacja przestraszyła. Natomiast funkcjonariusze

CBA przekazali tę informację centrali w Warszawie. Jednak zabroniono im się nią zajmować, bo dotyczyła czołowych postaci Platformy Obywatelskiej – mówi „Do Rzeczy” Falenta.

– To wierutne bzdury – mówi o informacjach od Falenty rzecznik CBA Jacek Dobrzyński. – To próba wkręcenia i wmanipulowania CBA w tę sprawę. Przecież każdy rozsądnie myślący zrozumie, że gdyby szef CBA miał taką informację, to nigdy by do takiej restauracji nie poszedł – dodaje.

NIE RUSZAĆ PLATFORMY

Z naszych informacji wynika jednak, że nie wszystkie meldunki z terenu trafiają na biurko szefa CBA. Mogły one trafić do któregoś z zastępców, który je zlekceważył.

Również ABW kwestionuje informacje przekazane przez Falentę naszej redakcji. – Informacje, o które pan pyta, w sprawie potajemnych nagrań w restauracji Sowa i Przyjacie, są kłamstwem – informuje ppłk Maciej Karczyński.

Natomiast Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga, która prowadzi postępowanie w sprawie nagrań, nie chce komentować tych informacji. – W żaden sposób nie mogę się odnieść do tych kwestii – mówi Renata Mazur, rzeczniczka prokuratury.

Falenta twierdzi, że wiele wskazuje na to, iż sprawa jest obecnie tuszowana, a funkcjonariusze służb robią wszystko, by wejść w posiadanie nagrań, których ujawnienia obawiają się politycy Platformy Obywatelskiej – nie tylko ministrowie, ale także sam Donald Tusk. Z naszych informacji wynika, że premier, chociaż unikał bywania w restauracjach, też został nagrany w prywatnych okolicznościach. Jedną z rozmów, w której brał udział również syn premiera, miała dotyczyć afery Amber Gold. Uczestniczyła w niej jeszcze jedna osoba, która nie jest znana publicznie. W drugiej rozmowie miał brać udział najbogatszy Polak – Jan Kulczyk, a jej przedmiotem były interesy, jakie prowadził on – a konkretnie jego spółka Polenergia – na Ukrainie. Kto i gdzie dokonał tych nagrań, nie jest do końca jasne. – Na pewno nie było to u Sowy i Przyjaciół. Raczej w pomieszczeniach zajmowanych przez premiera. Być może w prywatnym mieszkaniu lub w rezydencji na Parkowej – mówi nasz informator, prosząc o zachowanie anonimowości.

Fakt spotkań premiera z Janem Kulczykiem i to, że dotyczyły one między innymi Ukrainy, potwierdziła nam kancelaria premiera. „Pan Premier Donald Tusk łącznie odbył z Panem Janem Kulczykiem trzy spotkania (grudzień 2013, styczeń 2014 i czerwiec 2014). Spotkania odbywały się w budynku recepcyjnym rządu i Ministerstwie Sportu. Dotyczyły sytuacji na Ukrainie i przedstawienia przez PKOl i ministra sportu efektów obrad »okrągłego stołu dla sportu«” – poinformowano nas w KPRM.

Jak mogło dojść do nagrania tych taśm? Wiele wskazuje na to, że szefowi rządu służby nie przekazały informacji uzyskanych od swoich funkcjonariuszy

■ lub zrobiły to zbyt późno, a rozmowę nagrał któryś z jej uczestników.

TAJNA NOTATKA SZEFA NIK

Wiadomo, że z Kulczykiem spotkał się również Krzysztof Kwiatkowski, prezes Najwyższej Izby Kontroli. Treść ich rozmowy jest jednak nieznana. Przedstawiciele NIK w rozmowie z „Do Rzeczy” mówią, że wszystko, co mogło zostać publicznie powiedziane w sprawie spotkania Krzysztofa Kwiatkowskiego z dr. Janem Kulczykiem, już zostało powiedziane i sprawy komentować nie będą.

– Do spotkania z Janem Kulczykiem doszło jednorazowo. O spotkaniu tym informowały już media. Z rozmowy z Janem Kulczykiem prezes NIK sporządził notatkę i przekazał ją w trybie niejawnym ABW – poinformował nas Paweł Biedziak, rzecznik NIK.

Po wybuchu afery taśmowej media sugerowały, że mogło chodzić między innymi o zakup CIECh-u przez Jana Kulczyka. Pojawiały się też informacje, że Kulczyk ma problemy z konkurentem na rynku i u prezesa NIK szukał pomocy prawnej.

W oficjalnym komunikacie dotyczącym rozmowy NIK napisał, że: „Jej inicjatorem był Jan Kulczyk, wcześniej sygnalizował on prezesowi NIK, że ma do przekazania informacje o różnych nieprawidłowościach. W trakcie rozmowy okazało się jednak, że sprawy, o których wspomina Jan Kulczyk, mają częściowo charakter domniemań i subiektywnych obaw. Mimo to prezes NIK poinformował przedsiębiorcę, że może on, w celu pełnego wyjaśnienia sprawy, spróbować zainteresować swoimi

problemami inne, właściwe ze względu na przedmiot sprawy, organy państwa”.

– Rozmowa nie do końca dotyczyła obaw pana Kulczyka, biznesmen chciał się bardziej poradzić w kilku kwestiach. Sprawa kontaktu energetycznego Ukraina – UE nie padła, choć w rozmowie pojawiły się pewne kwestie dotyczące bezpieczeństwa energetycznego. Wszystko to jednak zostało zawarte w notce dla ABW – mówi nasz informator, wysoki rangą pracownik NIK.

Jednak równie ciekawą informacją jest to, że o nagraniach prawdopodobnie wiedziała jeszcze jedna służba – elitarna formacja policji, jaką jest Centralne Biuro Śledcze. Z naszych informacji wynika, że źródłem wiedzy CBS był Łukasz N., menedżer VIP roomu w Sowie i Przyjaciołach, któremu również postawiono zarzuty sporządzania nielegalnych nagrań. Był on

ale ten odmówił. Według naszego informatora ochrona, jaką przydzielono Łukaszowi N., nie tyle służy jego bezpieczeństwu, ile bezpieczeństwu rządzącym.

Rzecz w tym, że podczas przeszukań w domach podejrzewanych o sporządzenie nielegalnych taśm nie odnaleziono wszystkich nagrań, o których wiadomo, że zostały zrobione. Gdyby dotarły do dziennikarzy, mogłoby to doprowadzić do poważnego kryzysu politycznego.

Na razie nic nie wskazuje na to, że za nagraniami mogły stać obce służby. Sugerował to premier Tusk w sejmowym przemówieniu, pytając o to, jakim alfabetem był pisany scenariusz tej afery. Zostało to odebrane dość jednoznacznie jako pytanie retoryczne, czy była to cyrylica. Jednak CBS, przeprowadzając obecnie swoje czynności, ostrzegało kilka osób, że obce służby,

Oficera z ABW ta informacja przestraszyła. Natomiast funkcjonariusze CBA przekazali tę informację centrali w Warszawie. Jednak zabroniono im się nią zajmować, bo dotyczyła czołowych postaci Platformy Obywatelskiej – mówi Falenta

obiektem zainteresowania CBS ze względu na to, że w restauracjach, w których wcześniej pracował, m.in. w Lemongrassie, spotykali się członkowie świata przestępczego oraz aferzyści. Obecnie Łukasz N. według doniesień mediów ma być pod stałą kontrolą CBS ze względu na mające mu grozić niebezpieczeństwo. Podobną ochronę zaproponowano również Falencie,

a zwłaszcza te ze Wschodu, mogą próbować zdobyć nagrania, które nie są w posiadaniu naszych organów ścigania. Takie materiały mogłyby dawać duże pole do szantażu czołowych polskich polityków.

NIEDOPEŁNIENIE OBOWIĄZKÓW

To, że Falenta przekazał informację o nagraniach służbom, stawia pod zna-

Afera taśmowa wybuchła w sobotę 14 czerwca bieżącego roku, kiedy na stronie Wprost.pl pojawiła się zapowiedź wydania tygodnika „Zamach stanu – afery podsłuchowa” – głosił tytuł. Tygodnik informował, że „ktoś nielegalnie nagrał szefa MSW, prezesa NBP oraz byłego ministra transportu”, i dodawał, że rozmowy są kompromitujące dla wspomnianych osób. W numerze ujawniono szczegóły rozmów między Bartłojem Sienkiewiczem a Markiem Belką dotyczących wparcia NBP dla finansów państwa. Belka zażądał dymisji ministra finansów Jacka Rostowskiego.

Obecnie toczy się w tej sprawie śledztwo, które ma zbadać, czy Belka nie naruszył niezależności banku centralnego. Kolejna rozmowa toczyła się

Rząd na podsłuchu

między byłym ministrem transportu Sławomirem Nowakiem a Andrzejem Parafianowiczem, który niegdyś odpowiadał za kontrolę skarbową. Nowak się bał, że skarbowka skontroluje jego żonę. Parafianowicz stwierdził: „Zablokowałem to”. W tej sprawie również wszczęto postępowanie. Była też mowa o kłopotach z budową gazoportu. Tygodnik informował również, że potajemnie nagrano byłego rzecznika rządu Pawła Grasia, wicepremiera Elżbietę Bienkowską, prezesa NIK Krzysztofa Kwiatkowskiego i szefa CBA Pawła Wojtunika. Tych rozmów jednak nie opublikowano. W środę 18 czerwca do

redakcji „Wprost” wkroczyli prokuratorzy w towarzystwie funkcjonariuszy ABW, żądając wydania nagrań. Przedstawiciele redakcji początkowo zgodzili się na przegranie plików z rozmowami. Kiedy jednak nabrali podejrzeń, że prokuratorzy i ABW mogą zgrywać wszystkie informacje z dysków, zaprotestowali, obawiając się ujawnienia tajemnicy dziennikarskiej. W redakcji „Wprost” zgromadzili się dziennikarze, którzy na żywo relacjonowali przebieg zdarzeń. Kiedy przedstawiciele organów ścigania usiłowali siłą odebrać laptop redaktorowi Sylwestrowi Latkowskemu, doszło do szarpaniny. W rezultacie



Tajemnicą poliszynela jest fakt, że szef CBA Paweł Wojtunik nie przepada za ministrem spraw wewnętrznych Bartłomiejem Sienkiewiczem. FOT. KRYSZTOF DOBOSZYŃSKI/REPORTER

kiem zapytania jego udział jako inicjatora nagrań w całym procederze. W praktyce oznacza to bowiem, że poinformował on właściwe organy ścigania, czyli CBA i ABW, o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. W tej sytuacji prokuraturze trudno będzie udowodnić przed sądem jego winę jako inicjatora. Podobnie trudno będzie utrzymać zarzut publikacji nagrań. Falenta nie jest bowiem nawet współpracownikiem „Wprost”.

W tej sytuacji śledztwo może zacząć zmierzać raczej w kierunku postawienia zarzutów niedopełnienia obowiązków z artykułu 231. Kodeksu karnego ludziom z ABW i CBA. Jeśli bowiem faktycznie szefostwo ABW i CBA, a być może również CBS, nic nie zrobiło, by przerwać proceder narażający na szwank bezpieczeństwo państwa, to zaniedbało swoje podstawowe obowiązki. Jeśli zaś kierownictwa służb specjalnych działały, by chronić

swoich politycznych mocodawców i ich władzę, to oznacza, że mamy do czynienia z potężną aferą w organach ścigania.

Nie jest też wykluczone, że tłem całej afery jest rozgrywka w ramach służb specjalnych w związku z planowaną ich reformą. Proponowane zmiany w służbach – łagodnie rzecz ujmując – nie wywołują u funkcjonariuszy zachwyty. Tajemnicą poliszynela jest też to, że szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz w służbach i policji

prokuratorzy i funkcjonariusze opuścili redakcję. W zamieszczeniu ABW zostawiła jedną walizkę.

W czwartek, dzień po akcji ABW w redakcji „Wprost”, w tej sprawie premier spotkał się z dziennikarzami. Monika Olejnik wykrzyczała pod jego adresem: „Całe środowisko dziennikarskie jest przeciwko panu”.

„Zauważyłem to” – skonstatował premier.

W następnym wydaniu tygodnik opublikował kolejne rozmowy. Naj-



ważniejsza z nich była zapisem spotkania szefa MSZ Radosława Sikorskiego z ministrem finansów Jackiem Rostowskim. Rozmawiano między innymi o powołaniu komisji śledczej w sprawie weryfikacji Wojskowych Służb Informacyjnych. Kolejna zarejestrowana rozmowa toczyła się między Pawłem Grasiem a prezesem Orlenu Jackiem Krawcem. Mowa w niej była między

innymi o sztucznym zaniżaniu cen benzyny przed wyborami.

Dzień po publikacji prokuratura w towarzystwie ABW zatrzymała

między innymi Marka Falentę i jego szwagra Krzysztofa Rybkę. Przesłuchano także kelnerów z Sowy i Przyjaciół – Dawida N. i Ewelinę C. oraz Konrada L.

Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga postawiła zarzuty z artykułu 267. Kodeksu karnego, dotyczącego nielegalnych nagrań, czterem osobom: Falencie, Rybce, Łukaszowi N. i Konradowi L.

Polityka informacyjna prokuratury jest bardzo oszczędna. Nie chce ona nawet podać, ilu ludzi otrzymało status pokrzywdzonych. – Nagrano kilkadziesiąt osób. W tej chwili trwają czynności. Z tego powodu nie jesteśmy w stanie podać, ile ostatecznie osób będzie miało status pokrzywdzonych – mówi „Do Rzeczy” Renata Mazur, rzeczniczka prokuratury. •

nie cieszy się szacunkiem. Uważany jest bowiem za dyletanta.

Udało nam się potwierdzić, że istotnie Falenta był obiektem zainteresowania służb specjalnych od 2004 r. Wtedy dopiero rozkręcał swój biznes, kooperując z KGHM. Szczegółami tej współpracy zainteresowała się funkcjonariusz ABW z Dolnego Śląska. Z naszych informacji wynika, że chodziło między innymi o wiedzę Falenty w sprawie korupcji w sprawie zakupu opon do samochodów i parku maszynowego Polskiej Miedzi. Funkcjonariusze podejrzewali, że firma niepotrzebnie kupuje opony przez pośrednika, zamiast zamawiać je bezpośrednio u producentów. Przypuszczano, że marża w istocie może być ukrytą formą korupcji, a w przedsiębiorstwie może dochodzić do przestępczej niegospodarności.

Przedmiotem zainteresowania CBA Falenta stał się w 2007 r. Było to związane z działalnością firmy Electus, na której Falenta dorobił się olbrzymiego majątku. Electus skupował przede wszystkim długie szpitale publicznych za ułamek ich wartości. Funkcjonariusze badali, jak to się dzieje, że Electus jest tak skuteczny w ściąganiu wierzytelności, podczas gdy inni wierzyciele mieli znikome szanse na ściąganie swoich pieniędzy. Również w tej sprawie podejrzewano, że za wszystkim mogą się kryć łapówki. Nigdy jednak nie usłyszał w tej sprawie zarzutów.

Jednak od tego czasu on oraz jego firmy pozostawały w stałym zainteresowaniu organów ścigania. Obecnie Prokuratura Okręgowa w Gdańsku prowadzi śledztwo w sprawie jego firmy Składy Węgla.

Jeżeli to nie Falenta był inicjatorem podsłuchów, to kto za nimi stoi? Mamy dwie hipotezy. Jedna z nich zakłada, że oficerowie CBŚ, którzy kontaktowali się z Łukaszem N., chcieli w ten sposób pominąć skomplikowane procedury przeprowadzania operacji specjalnych i korzystania z technik operacyjnych w toku realizowanych czynności. Poprzez Łukasza N. mogli zdobywać interesujące ich informacje bez konieczności sięgania po zgody sądowe czy pozwolenia przełożonych.

Druga hipoteza jest jeszcze ciekawsza, ma bowiem tło polityczne. Nasz informator jest przekonany, że za podsłuchami może stać wrocławski biznesmen związany z Platformą Obywatelską, który zasiadał kiedyś w parlamencie i jest zarządcą przyjaźnionym z Grzegorzem Schetyną.

Co o tym świadczy? Otóż media donosiły, że w Sowie i Przyjaciółkach

Falenta twierdzi, że wiele wskazuje na to, iż funkcjonariusze służb robią wszystko, by wejść w posiadanie nagrań, których ujawnienia obawiają się politycy Platformy Obywatelskiej – nie tylko ministrowie, ale także sam Donald Tusk

sporządzono nie tylko zapisy dźwiękowe, ale także wideo – tzw. sekstaśmy. Udało się nam potwierdzić, że istotnie zostało sporządzone przynajmniej jedno takie nagranie. Były to igraszki jednego z wiceministrów z młodą dziewczyną. Jak ustaliliśmy, chodzi właśnie o dziewczynę z otoczenia wrocławskiego biznesmena. Pikanterii sprawie dodaje to, że tą dziewczyną jest była funkcjonariuszka BOR. – Biznesmen ten znany jest z tego, że w jego otoczeniu kręci się masa atrakcyjnych młodych kobiet do towarzystwa. O tym, że służą one do inicjowania sytuacji kompromitujących, od dawna jest głośno – mówi nasz informator. Jak ustaliliśmy, ów wiceminister otrzymał od Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga status pokrzywdzonego w związku z nagraniami.

Nie jest on jednak jedyną osobą, która może się obawiać kolejnych nagrań. Nagrywający utrwaliли wiele innych intere-

sujących rozmów. Jedno z nagrań dotyczy byłego już ministra. Miał on zaoferować biznesmenowi z branży artystycznej nadzór nad jednym z festiwali transmitowanych przez TVP w zamian za obsługę imprez Platformy Obywatelskiej, w tym konwencji tej partii.

Kolejne nagranie, o którym informowano, to rozmowa szefa CBA Pawła Wojtunika z wicepremier Elżbietą Bieńkowską. O istnieniu tej taśmy pisał „Wprost”, ale jej nie opublikował. Z naszych informacji wynika, że wśród tematów rozmowy była sprawa nadużyć w KGHM. Wojtunik miał narzekać, że ktoś rozpiął nad figurantami tej sprawy (czyli osobami rozpracowywanymi) polityczny parasol ochronny i nie sposób przeciąć patologii panujących w tej firmie.

Nasi informatorzy sądzą też, że tłem całej sprawy może być cichy konflikt między dużym i małym pałacem, czyli między ośrodkiem prezydenckim a premierowskim. – Prezydent, który – jak wiadomo – ma doskonałe kontakty z wojskiem i ze służbami wojskowymi, dzięki aferze taśmowej niewątpliwie zyskał. W tej sytuacji, kiedy rząd i sam premier zostali osłabieni, może spać spokojnie i zapomnieć o jakimkolwiek konkurencji na nominację prezydencką Platformy – mówi nasz informator. •

współpraca Wojciech Wybranowski

Kim jest Marek Falenta

Pochodzący z Lubina biznesmen według tygodnika „Wprost” w 2013 r. posiadał majątek warty 440 mln zł. To dało mu 67. miejsce na liście stu najbogatszych Polaków. Pracę zaczął w 1997 r. w KGHM jako specjalista od środków trwałych. Szybko jednak razem z dwoma kolegami założył firmę Electus. Zajmowała się ona skupowaniem długów publicznych szpitali i samorządów. W 2006 r. za 450 mln zł sprzedał spółkę Domowi Maklerskiemu IDMSA. Nie rozstał się jednak ze spółką Electus. Został akcjonariuszem IDMSA i objął stanowisko prezesa Electusa. Firmą kierował przez kolejne cztery lata. W 2010 r. komornik zajął jego akcje. Był to skutek prawomocnego wyroku sądowego, który w 2009 r. skazał Falentę za pomoc w wyłudzeniu kredytu. W 2010 r. założył fundusz inwestycyjny Falenta Investments. Według portalu Propertynews.pl Falenta posiada kontrolne pakiety akcji blisko 30 spółek. Jedną z nich jest telekomunikacyjna firma HAWE, która realizuje projekt budowy ogólnopolskiej sieci światłowodowej. W radzie nadzorczej tej spółki zasiadają między innymi były polityk PO Tomasz Misiak oraz była prezes PGNiG Grażyna Piotrowska-Oliwa. (mast)





Rafał A. Ziemkiewicz

W odgórnym wybuchu radości po nominacji Donalda Tuska starannie unikano pytania: Ile za ten zaszczyt zapłaciliśmy?

To, że prawdziwym priorytetem premiera, przemilczanym wprawdzie w exposé, ale determinującym wszystkie jego działania, jest przejście z polityki krajowej do europejskiej, dla przytomnego obserwatora stało się oczywiste już kilka lat temu (dziś zresztą podwładni premiera przyznają to już otwarcie, a nawet z dumą, przechodząc do porządku dziennego nad wielokrotnie powtarzаныmi kłamstwami swoimi i swojego szefa w tej kwestii). Ten zamiar wydawał się jednak nazbyt ambitny. Trudno sobie było wyobrazić, żeby przewodniczącym Komisji Europejskiej został polityk spoza strefy euro, nie mówiąc już o pomniejszych przeszko-
dach, choćby swoistej obsesji Francuzów, którzy z zasady blokują nominacje na wspólnotowe urzędy polityków nieposługujących się biegle ich językiem.

Nie, nie pomyliłem się przy researchu – celem Donalda Tuska nie było przewodniczenie Radzie Europejskiej, ale właśnie Komisji Europejskiej. Polska dyplomacja włożyła wiele wysiłku w „rozprowadzenie” go jako oficjalnego kandydata, z którym Europejska Partia Ludowa miała iść do wyborów – gdyby tak się stało, PO zyskałaby zresztą miążdzący argument wyborczy (któż śmie głosować przeciw takiemu wyniesieniu Polski?!). W kuluarach europarlamentu mówiło się, że pomysł, by frakcje ogłaszały swoich kandydatów na kluczowe urzędy przed wyborami, oraz kandydatura Tuska na szefa KE były poważnie rozważane, ale ostatecznie upadły, a wraz z nimi szanse polskiego kandydata. Wtedy dopiero pojawiła się myśl – jeśli Tusk nie może zastąpić Barroso, to może chociaż Van Rompuy? Różnica istotna, bo przewodniczący Rady Europejskiej to funkcja równie prestiżowa, ale w przeciwieństwie do szefa KE niezwiązana z realnymi wpływami.

KTO LICYTUJE WYSOKO?

W odgórnym wybuchu radości i dumy po ogłoszeniu nominacji starannie unikano pytania: Ile za ten zaszczyt zapłaciliśmy?

Jakie koncesje musiała poczynić Polska, aby kibicujące PO media mogły ogłosić „największy sukces Polaka od czasów

wyboru Jana Pawła II”? Chociaż przecież jeszcze kilka dni wcześniej strategia negocjacyjna była w centrum zainteresowania mediów – chwalono Tuska za to, że „licytuje wysoko” i pod pozorem zabiegów o czy-
sto prestiżową „europejską prezydenturę” walczy o tekę europejskiego komisarza ds. energii (w takim przekonaniu utrzymywał Tusk do ostatniej chwili członków swojego dworu, by uniknąć przedwcześnie-
go wybuchu walk o sukcesję). Część nieodmiennie życzliwych władzy gwiazdorów politycznego komentarza zdążyła już nawet nieopatrznie gromko pochwalić premiera za tak mądrą grę, świadczącą o dobrym rozumieniu polskich interesów i przedkładaniu ich ponad czcze honory.

Jedna z brytyjskich gazet twierdzi, że David Cameron – którego poparcie okazało się w staraniach przełomowe – pozyskany został obietnicą wsparcia przez Polskę bardzo istotnej dla brytyjskich konserwatystów zmiany we wspólnotowym prawie, która pozwoliłaby państwom „starej Unii” wypłacać mniejsze świadczenia imigrantom z nowych krajów członkowskich niż swoim „etnicznym” obywatelom. W praktyce oznacza to odebranie brytyjskich zasiłków przebywającym na Wyspach Polakom, co może nawet nie byłoby sprzeczne z polską racją stanu, bo to, że Polki wyjeżdżają za

Europejską za nielegalną pomocy dla polskich stocznii, co oznaczało zgodę na ich zamknięcie. Przypomnijmy, że ta sama decyzja komisarz Neelie Kroes dotyczyła także kilku stocznii niemieckich oraz francuskich, które jednak istnieją i funkcjonują do dziś, ponieważ rządy tych krajów zaskarżyły decyzję i uzyskały uznanie jej za błędną. Działania ministrów Tuska ograniczyły się natomiast do produkowania bajek o „katarskim inwestorze”. W kontekście wielu innych przykładów posuniętej do absurdu potulności wobec poleceń płynących z Europy (do absurdu, bo nie mówimy przecież o żadnym rokoszu, tylko o wykorzystaniu wpisanego w prawo wspólnotowe mechanizmu odwoławczego!) trzeba zadać dziś pytanie: Czy upadek polskich stocznii był skutkiem tylko „zwykłej” nieudolności mianowanych przez Tuska urzędników, czy kurczowego trzymania się przez nich jakiejś niepisanej dyrektywy, by „nie narażać się” sferom decyzyjnym Unii Europejskiej?

LEKCJA ULEGŁOŚCI

Opozycja wielokrotnie krytykowała rząd PO za niechęć do wyraźnego stawiania, a nawet formułowania polskich interesów. Sprzyjające władzy media starały się dezawuować te oskarżenia jako nacjonalistyczne, „oszołomskie” pohukiwania. Sądzę, że

Przez zgłiszcza

granicę rodzić dzieci, to dla nas sprawa fatalna. Problem jednak w tym, że oficjalnie Tusk występował bardzo demonstracyjnie przeciwko temu pomysłowi, a w jego otoczeniu opowiadano nawet bajki, jak ostro niby miał „ochrzcić” za to Camerona.

Byłoby jednak bardzo źle, gdyby właśnie zasiłki dla polskich imigrantów w Wielkiej Brytanii stały się w potocznej świadomości symbolem ceny zapłaconej za brukselski tron dla premiera – tak jak niefortunnie symbolem zaniechań w stosunkach z USA są marginalne dla polskiej racji stanu wizy turystyczne. Cena była znacznie większa i jej dokładne określenie możliwe będzie zapewne dopiero po zmianie władzy oraz szczegółowym „audycie” ośmioletnich rządów PO.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład – zaniechanie przez rząd Tuska procedury odwoławczej po uznaniu przez Komisję

w kontekście choćby argumentów zebranych przez Krzysztofa Rybińskiego w publikowanym w tym numerze „Do Rzeczy” podsumowaniu osiągnięć i klęsk premiera Tuska trzeba je traktować poważnie. Tym bardziej że listę konkretnych przykładów dziwnie bezwoli w stosunkach z Europą i z dominującymi w niej Niemcami, których wielokrotnie komplementował minister Sikorski („jako Polak bardziej boję się niemieckiej bezczynności niż niemieckiego działania” – osobiście brzmi to w kontekście zachowania Niemiec wobec agresji na Ukrainę), można wydłużać. Weźmy choćby zgodę na zakorkowanie portu w Świnoujściu dla większych statków niemieckoro-
syjskim gazociągami, którą trzeba połączyć z przedziwną bezwolą, a właściwie sabotażem przez ten rząd budowy połączeń drogowych północ – południe oraz udrożnieniem potencjalnej „magistrali



do Europy

kolejowej" (wystarczyłoby dobudowanie kilkunastokilometrowego odcinka torów), co zwiększyłoby konkurencyjność polskich portów względem niemieckich i odebrałoby im część obecnych zysków. W sprawie Świnoujścia rząd posunął się do okłamywania obywateli: oficjalnie twierdzono, że ograniczający zanurzenie płynących do Świnoujścia statków gazociąg można hędzie w razie potrzeby zakopać pod dnem (absolutnie niemożliwe), że blokowane jest tylko jedno podejście do portu z dwóch (blokowane są oba), że możemy wyznaczyć inny tor wodny (wymaga to zgody wszystkich państw bałtyckich, procedura trwa wiele lat).

Ta skwapliwość okłamywania obywateli w cudzym interesie przypomina zachowanie ekipy Tuska w sprawie tragedii smoleńskiej. O ile można poważnie dyskutować z kulaarową tezą władzy, że wobec determinacji Putina premier Tusk nie mógł

niczego zrobić, a „wojny przecież Ruskim nie wypowie”, o tyle nic nie rozgrzesza sekundowania Rosjanom w kłamstwach o „przekopywaniu ziemi na metr w głąb” i w ogóle badaniu katastrofy w sposób zgodny z normami cywilizowanego świata, gdy ciała jej ofiar były profanowane, dowody niszczone, a ślady gorliwie zacierane.

Tę uległość wobec Putina także trzeba tłumaczyć marzeniem o unijnej karierze. Tusk zrozumiał lekcję, jaką było złamanie po demonstracyjnym poparciu pomarańczowej rewolucji kariery Aleksandra Kwaśniewskiego. Do czasu wydawało się przecież, że były dwukrotny prezydent Polski, wciąż popularny i jak na polityka młody,

jest naszym „towarem eksportowym” numer jeden do unijnych struktur, jakieś stanowisko dla niego uważano za oczywiste. Nie dostał żadnego i nie jest dla nikogo tajemnicą, że z powodu jasnego postawienia przez Rosję sprawy, iż uzna to za afront. Tusk wiedział, że wejście w konflikt z Rosją to kres marzeń o unijnej synekurze i nawet w sprawie tak dramatycznej nie tracił z oczu swojego najważniejszego celu. Kiedy sytuacja wewnętrzna zmuszała go do jakiejś ostrzejszej antyputinowskiej demonstracji (po nieoczekiwaniu szybkiej konferencji MAK czy Anschlussie Krymu), natychmiast wysyłał do Moskwy łagodzące sygnały, by nie brała ich poważnie, bo on na pewno „nie stanie na czele antyputinowskiej krucjaty”.

Według europejskich gazet tak, jak Camerona zjednać miał Tusk zgodą na odebranie imigrantom „socjali”, tak warunkiem Francji była jednoczesna nominacja Federiki Mogherini, wychowanki włoskiej partii komunistycznej, która powszechnie uważana jest za rzeczniczkę appeasement wobec Putina i zresztą udokumentowała to natychmiast po wyborze, mówiąc o „nieszczęśliwym wypadku” holenderskiego samolotu nad Ukrainą. Być może lepiej dla Polski byłoby nie mieć jako szefa Rady Europejskiej Polaka, ale mieć mądrzejszego „szefa unijnej dyplomacji”.

Nie sposób też inaczej niż potrzebą przypodobania się eurokracji, w znacznym stopniu tkniętej lewackim obłędem tęczowej rewolucji, wytłumaczyć wyraźnego przesunięcia rządu i PO w lewo w czasie, gdy Polacy stają się coraz mniej otwarci na nowinki obyczajowej rewolucji. Ludzie życzliwi PO, a może tylko nieżyczliwi PiS, od dłuższego czasu alarmowali Tuska, że w ten sposób prowadzi swą partię do przegranej z PiS. Jak widać – priorytety premiera były inne.

POŚWIĘCONE INTERESY

Urząd, który obejmuje Tusk, nie jest stanowiskiem, jakie można dostać przypadkiem, do przyjęcia którego jest się namawianym, które się obejmuje, ustępując dla świętego spokoju. Kolportując podobne bzdury, prorządowe media obrażają inteligencję Polaków. O takie stanowisko trzeba walczyć, starać się o nie latami i wiele w tej walce poświęcić. Donald Tusk poświęcił takiemu ukoronowaniu kariery nie tylko lata swojej ciężkiej pracy, co się chwali, i nie tylko własną partię, którą pozostawia niezdolną do funkcjonowania bez jego „twardej ręki”, wyjąłową z talentów i osobowości oraz przesuniętą na lewo, co jest jej sprawą, ale, niestety, także interesy naszego kraju. •



Prawdziwa twarz gender

FOT. POLSKA PRESS

44

Reporterka „Do Rzeczy” została studentką podyplomowych gender studies. Przez pół roku przysłuchiwała się też temu, co się dzieje na spotkaniach, wystawach i konferencjach genderystów



Agnieszka Niewińska

Podyplomowe gender studies w IBL PAN dostępne są dla każdego, kto ma dyplom wyższej uczelni albo może przedstawić zaświadczenie, że niebawem złoży egzamin magisterski lub licencjacki. Ja chcę zacząć studiowanie od marca, czyli od drugiego semestru. Nie ma z tym problemów. Jeszcze zanim złożę dokumenty – odpis dyplomu, podanie i kwestionariusz – pocztą elektroniczną, dostaję program pierwszego zjazdu oraz dostęp do skrzynki, na którą wysyłane są materiały dla studiujących. – Pozostaje kwestia opłaty – zwraca nieśmiało uwagę pracowniczka IBL PAN. Realizuję więc przelew i już mogę się czuć studentką podyplomowych Gender Studies im. Marii Konopnickiej i Marii Dulebianki.

SAMIEC TWÓJ WRÓG

Jak na dziedzinę kreowaną na przyszłościową, postępową, przybywającą z Zachodu entourage zajęć jest, mówiąc językiem młodzieży, nieco oldskulowy. Wypłowiałe dywany, przykurzone flip-charty, przy których nieustannie brakuje piszących markerów, stare tomiszcza w ciemnej czytelni z oknami tak brudnymi, że skrzyżowanie Nowego Świata ze Świętokrzyską widać zza nich jak przez gęstą mgłę. Na szybie wykwił za to plakat reklamujący gender studies – Mikołaj Kopernik z pomalowanymi na różowo ustami i kwiatem we włosach, a całość opatrzona napisem: „Nikt nie rodzi się sobą”. Poster zna chyba każdy, kto przechadza się warszawskim Traktem Królewskim.

W grupie gender studies jest niespełna 30 osób, w tym trzech panów stale uczestniczących w zajęciach i jeden z doskoku. Kto uważa, że zwolenniczki i propagatorki gender to smutne panie ubrane w zgrzebne wory, bez makijażu, dobrej fryzury i najmniejszych oznak atrakcyjności, jest w błędzie. Studentki to przeważnie ładne, młode dziewczyny. Nie stronią od kobiecych dodatków i drobiazgowo dobranych elementów gardero-

by. Noszą spódnice, korale, kolczyki, szale, buty na obcasach. Żadne sfrustrowane singielki, często żony, czasem nawet matki, które w przerwie między zajęciami dzwonią do domu, by porozmawiać z dzieckiem. Jedne są zawodowo związane z feministycznymi organizacjami, inne to nauczycielki, urzędniczki administracji państwowej, wykonują zawody prawnicze, pracują w organizacjach pozarządowych. Jest znawczyni teatrologii, polonistka pracująca w sklepie z ekologiczną żywnością, lekarz psychiatra, dziennikarz muzyczny, pracowniczka służb mundurowych.

By zadbać o genderowy look, można zaopatrzyć się w torbę z feministycznymi motywami (do nabycia na przykład w siedzibie fundacji Feminoteka), chociażby taką z pomalowanym paznokciem i napisem: „Włącz myślenie, włącz feminizm”. Pochwalić się mogą nimi nawet panowie z genderowej grupy. W dobrym tonie byłby też zeszyt z serii Empiku z hasłami z filmu „Seksmissja”. Kilka osób notatki z genderowych zajęć robi w brulionie z wypisanym na okładce hasłem „Samiec twój wróg”. Warto też w sobotę przed przyjściem na zajęcia zajrzeć do kiosku i zaopatrzyć się w najnowszy numer „Wysokich Obcasów”. Można go wertować pod ławką w chwilach znudzenia na zajęciach albo na przerwie.

W programie semestru są prawo i ekonomia w genderowym ujęciu, a także zajęcia o nieco bardziej rozbudowanych nazwach: „Performatyka wizualności w perspektywie gender”, „Psychoanaliza po Freudzie”, „Polityka płci: teoria i praktyka »gender« w naukach społecznych, prawie międzynarodowym i praktyce życia”, „Polityka równości w Polsce – możliwości i ograniczenia”, a także „Oblicza polskiego backlashu” czy „Literatura a gender”.

Zamieszanie wzbudziły zajęcia dr Katarzyny Nadany-Sokołowskiej, historyczki literatury, krytyczki literackiej, która w IBL prowadziła już takie wykłady jak „Doświadczenie lesbijskie



AGNIESZKA NIEWIŃSKA
„RAPORT O GENDER W POLSCE”
FRONDA 2014

■ w dziennikach intymnych” czy „Gender w komunikacji społecznej”. Pracuje nad stworzeniem „Encyklopedii gender”. Swoją pracę doktorską, zatytułowaną „Problem religii w polskich dziennikach intymnych: S. Brzozowski, K.L. Koniński, H. Elzenberg”, napisała pod kierunkiem samej Marii Janion. Nie stroni zresztą od tematów związanych z religią. Obok Janusza Pali-kota, Stanisława Obirka, Joanny Senyszyn, Magdaleny Środy czy Jerzego Urbana jest jedną z osób, z którą wywiad o Janie Pawle II do swojej książki „Ojciec nieświęty. Krytyczne głosy o Janie Pawle II” wydanej przez wydawnictwo Czarna Owca zrobił lewicowy publicysta Piotr Szumlewicz.

To nie ta książka budzi jednak kontrowersje grupy, tylko tytuł zająć: „Męska proza po 1989 r. wobec kobiet: mizoginia,

feminizm, backlash”. Męska, bo tworzona przez mężczyzn. Na gender studies literaturę dzieli się raczej nie na dobrą czy złą, współczesną czy klasyczną, romantyczną czy oświeceniową, ale na męską i kobiecą. – A właściwie po co mamy czytać męską literaturę? Nie lepiej byłoby, gdybyśmy na zajęciach omawiali jakieś pozytywne przykłady, coś dobrego, kobiecego? – pytają studentki.

Prowadząca dr Nadana-Sokołowska tłumaczy, by badanie męskiej literatury po-traktować jako „wycieczkę na terytorium wroga”. Ma ona nam dostarczyć argumen-tów w rozmowie z partnerami, znajomy-mi, pomóc w wyszukiwaniu punktów, w których pisarze wykazują się mizoginią (nienawiścią do kobiet i uprzedzeniami wobec nich), gdzie tak budują kobiece po-stacie, by okazać niechęć do nich i dyskry-minować płęć żeńską. – Kto z państwa jest filologiem? – pyta orientacyjnie prowadzą-ca. – Filolożką! – poprawia panią doktorkę jedna ze studentek.

Ze zwracaniem się do studentów jest zresztą niemało zamieszania ze wzglę-du na kilku panów wśród uczestników podyplomowych gender studies. Jako że w salach wykładowych są rozproszeni, a i prowadzące przyzwyczajone są do damskiej dominacji na tych studiach, z rozpędu nagminnie zwracają się do pań. Raz jednemu z mężczyzn przyszło do głowy upomnieć wykładowczynię, która nieustannie zwracała się do żeńskiego audytorium. Przypomniał, że na sali są też panowie.

Pani doktor w pierwszym odruchu przeprosiła męską reprezentację, ale zaraz uzasadniła swoje „paniowanie”. Wyjaśniła, że panowie nie powinni czuć się urażeni, bo język dotąd zawsze ich premiował przez to, że brakowało żeńskich końcówek – nie było profe-sorki, polityczki, ministrzycy ani nawet ministry. Więc gdy teraz ona zwraca się do słuchaczy w żeńskiej formie, panowie powinni uznać, że mówi w ten sposób także do nich.

Językowa etykieta to nie tylko naukow-czyni zamiast naukowca czy technolożka zamiast technologa. Organizacje kobiece obejmują nad akcjami i wydarzeniami „matronat” (a nie patronat), a genderowej obróbce poddawane są również utarte zwroty. I tak zamiast „nie daj Bóg” gende-rystki powiedzą „nie daj Bogini”. Bo niby dlaczego Bóg ma być mężczyzną? Dobrze wzorze można czerpać z feministycz-nych organizacji i podobnie jak fundacja Feminoteka życzyć bliskim i znajomym: „Wspaniałych, radosnych i kolorowych

Świąt Bogini Eostre!” zamiast Wielka-nocy. Weryfikacji trzeba poddać słowo „historia”, bo aktywistki gender doszły do wniosku, że skoro „his” z angielskiego oznacza „jego”, to trzeba to zmienić na „her”, czyli „jej”. Tak powstała „herstoria”. Genderystki prowadzą więc badania „herstoryczne”, a problemy analizują w ujęciu „herstorycznym”. Słownik pod-powiada jednak, że słowo „historia” nie pochodzi z języka angielskiego, tylko od greckiego ἱστορία (istoria) oznaczającego badanie, dochodzenie do wiedzy. Ale czy źródłosłów jest istotny? W końcu angiel-szczyzna panoszy się wszędzie.

TA STRASZNA CIELECKA

Rodzenie i wychowywanie dzieci to często podejmowany temat w badaniach



Pisarka Katarzyna Grochola nie jest ulubienicą feministek. Bohaterka jej książki gotuje krupnik i w dodatku podaje go mężczyźnie FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS



Aktorka Magdalena Cielecka podpadła genderowej elicie po tym, jak media zaczęły pisać, że chce mieć dziecko FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

genderowych. Gender studies na macierzyństwo patrzą dość podejrzliwie. Nie przeczą temu, że tylko kobiety mają zdolność do rodzenia dzieci, i na razie zapewniają, że nie zamierzają tego podważać, ale dostrzegają i poddają krytyce rzekomą presję wywieraną na nie w związku z macierzyństwem.

– Osobiście burzę się na stwierdzenie: „Nie można urodzenia dziecka odwlekać w nieskończoność”. Zastanawiam się, co za tym stoi. W tle są oczywiście raporty demografów. Były marzenia o czterdziestomilionowym narodzie, a za chwilę będzie nas trzydzieści milionów. Ja osobiście nie mam z tym problemów – deklaruje odważnie prowadząca. I rusza dyskusja o tym, że to kobiety nagminnie chce się uczynić winnymi niskiego przyrostu naturalnego, oburzenie wzbudzają kolorowe pisma i gazety, które ponoć nieustannie przypominają o tykającym zegarze biologicznym, a swoich tez nie wahają się podparć wypowiedziami ekspertów, lekarzy. Dowiadujemy się, że kobietom wmawia się, że późne macierzyństwo zwiększa ryzyko chorób dziecka, straszy się że rzekomo trudnościami z zająciem w ciążę. A to wszystko ma wzbudzać frustrację i nakręcać poszukiwania kandydatów na mężów, których rynek się ponoć kurczy. – Już na studiach moje koleżanki nie mówiły o niczym innym jak o szukaniu męża, ślubie – lekko kpi z uczelnianych znajomych młoda mężatka.

Takie dyskusje toczą się na zajęciach letniego semestru podyplomowych gender studies zatytułowanych „Oblicza polskiego backlashu”. Prowadząca: dr Agnieszka Mrozik. Jak podpowiada strona internetowa IBL PAN, pracuje ona w Zespole Badań Genderowych „Literatura i Gender”. Wśród ważniejszych publikacji i artykułów podano: „Motherhood as a source of suffering. On the contemporary Polish discourse of maternity” (Macierzyństwo jako źródło cierpień. Na podstawie polskiego dyskursu współczesnego macierzyństwa) czy „Wywołać z milczenia. Literackie coming outy aborcyjne ostatnich lat”.

Na pierwsze zajęcia pani doktor, a może lepiej „doktora”, poleca przeczytać spory fragment klasycznej feministycznej lektury: „Reakcja. Niewypowiedziana wojna przeciw kobietom” – dzieła amerykańki Susan Faludi. Gruby egzemplarz książki w różowej obwolutie leży niemal na każdym stoliku. W tytule oryginału Faludi użyła słowa „backlash”. Prowadząca szybko wyjaśnia, że backlash to termin zaczerpnięty ze słownictwa militarnego,

związany z wystrzałem z broni. Backlashem nazywa się charakterystyczny odrzut pistoletu czy karabinu po oddaniu strzału. W kontekście gender oznacza on jednak kontrreakcję na zdobycze kobiet. – Jeśli tylko kobiety zrobią mały krok w drodze do równouprawnienia, następuje atak – tłumaczy chłodno dr Mrozik i za Faludi wskazuje, jak mroczne w USA były czasy prezydentury Ronalda Reagana i George’a Busha. Straszy amerykańskimi republikanami i zaznacza, że ich zachowanie to typowy backlash. W odpowiedzi na kolejne równościowe zmiany, o które wystarały się kobiety, ograniczano dostęp do aborcji, ingerowano w „prawa reprodukcyjne”, walczono z pornografią i zmniejszono fundusze na badanie nosicielstwa wirusa HIV.

„Rozkminka” matki Polki zaczyna się od przeglądu malarstwa Artura Grottgera, które – jak słyszymy – dobrze pokazuje, jakie konotacje niesie ze sobą figura matki Polki. Otóż nawiązuje ona do Matki Boskiej, ma cechy piety, matki bolejącej, która poświęca swoje dziecko dla sprawy. Matka Polka nie dość, że jest cierpiąca, to jeszcze pozbawiona seksualności, świadomości swojego ciała, a nawet pożądanego. – Kiedy myślimy o matce Polce, zwykle nie mamy przed oczami kobiety ciężarnej, ona w ciąży nie funkcjonuje. Zwykle jest z małym dzieckiem na ręku, ewentualnie z jakąś gromadą, która się tuli do jej kolan. Scen porodu i ciąży na tym obrazie nie ma – mówi dr Mrozik.

Od matki Polki przechodzimy gładko do współczesnych mam. Zwłaszcza tych

– Jak medalistka Sylwia Gruchała może mówić, że macierzyństwo to jej największe osiągnięcie? – dziwi się wykładowczyni gender studies FOT. ANDRZEJ WRZEŚIŃSKI/EAST NEWS



Konkluzja? Polska jest jak Ameryka przełomu lat 80. i 90. Reakcja Faludi się nie zestarzała. W naszym społeczeństwie mamy ponoć ostrą odpowiedź na równościowe zdobycze kobiet. Chociażby w kwestii języka, który ma być zawłaszczony przez prawicę. – Nie mówi się już „płód”, tylko „dziecko nienarodzone” – pada potwierdzająca uwaga z sali.

Omawianie obliczy tego polskiego backlashu przewidziano na cały semestr. Na zajęciach mamy „rozkminka” i „rozpakowywać figury”, jak często podkreśla prowadząca. Będzie o traktorzystce, matce Polce, polskiej Bridget Jones.

znanych z pierwszych stron kolorowych czasopism. – Ciekawe rzeczy dzieją się obecnie, jeśli chodzi o wytwarzanie podmiotu macierzyńskiego i jego dyscyplinowanie – opowiada dr Mrozik.

Już sama używana przez nią terminologia jest ciekawa, żeby nie powiedzieć – ekscentryczna. Czy rzekomą promocję macierzyństwa można nazwać „wytwarzaniem podmiotu macierzyńskiego”? – Coraz więcej czytam o celebrytkach, które mówią o byciu matką: „projekt macierzyństwo”. Dorota Gardias stwierdzała, że jej pomysł na życie to macierzyństwo. Sylwia Gruchała, medalistka olimpijska, i

■ florecistka, mówi: „Macierzyństwo to moje największe osiągnięcie” – dziwi się pani doktor. I przywołuje Magdalenę Cielecką, aktorkę po czterdziestce, której – jak zdradza – kibicowała, kiedy ta mówiła w wywiadach, że mimo wieku nie odczuwa instynktu macierzyńskiego, nie słyszy tykania biologicznego zegara. – Ale teraz Małgorzata Kożuchowska, lat 43, zaszła w ciążę. I co? Magdalena Cielecka poczuła, że i dla niej nie jest za późno!

Konstatacji towarzyszą salwy śmiechu studentów. A pani doktor kończy: – Naprawdę dzieją się rzeczy ciekawe, jeśli chodzi o macierzyństwo, ciekawo-strasne, dla mnie strasne! Jeśli czytam o kobiecie, która zdobywała medale, a teraz mówi, że macierzyństwo to jest jej największe osiągnięcie w życiu, która w ogóle definiuje je w kategorii osiągnięcia, myślę o tym, jaki przekaz jest wtedy wysłany do mas: cokolwiek byś zrobiła, cokolwiek byś osiągnęła w życiu, twoją podstawową funkcją jako kobiety jest być matką, to jest kropka nad i, wisienka na torcie. Możesz być medalistką, noblistką, kimkolwiek, ale jeżeli nie będziesz matką, to tak jak w przypadku Magdaleny Cieleckiej pozostaje ci wsłuchiwać się w zegar – czy tyka, czy nie tyka. Dla mnie to jest straszne – przeraża się pani doktor.

W reakcji na straszenie kazusem Cieleckiej i Gruchały nieśmiało zabiera głos jedna ze studentek. Zwraca uwagę na to, by nie dyskredytować kobiet, które mówią o macierzyństwie jak o największym osiągnięciu.

– Rozumiem, że są kobiety, które świadomie wybierają wychowywanie dzieci – rzuca studentka, której często zdarzają się wypowiedzi balansujące na granicy genderowej poprawności. Także tym razem natychmiast zostaje zakrzyczana przez innych.

– Świadomy wybór?
– Kobiety nie mają wyboru!
– A dlaczego mężczyzna nie musi wybierać, czy zostać z dzieckiem, czy wrócić do pracy?

– Większość kobiet w naszym kraju nie ma żadnego wyboru!

Wybór kobiety to trudny wątek w genderowych dyskusjach. Wracą jak bumerang. Czy kobieta ma wybór? Czy jeśli zamiast kariery zawodowej wybrała pozostanie z dziećmi w domu i mówi, że tego chciała, to rzeczywiście tak jest?

– Jestem bardzo podejrzliwa, kiedy ktoś mówi o świadomym wyborze – daje wykładnię dr Mrozik. – Co to jest ten świadomy wybór? – pyta i wyjaśnia, że oddziałują na nas wzorce kulturowe,

media, popkultura, która lansuje pewne modele, na przykład kobiety zajmujące się dziećmi. Wniosek? Jeśli mówisz, że wychowanie dzieci to twój świadomy wybór, to tak ci się tylko wydaje. Kultura, media, otoczenie „wdrukowały” ci to do głowy.

GROCHOLA! SAMA GOTUJ KRUPNIKI!

Bridget Jones. Kto jej nie zna?! Pod koniec lat 90. „Dziennik Bridget Jones” autorstwa angielskiej pisarki Helen Fielding podbijał listy bestsellerów, także w Polsce. Autorka poszła za ciosem i napisała kontynuację powieści, na jej motywach nakręcono również film z Renée Zellweger w roli głównej. Na fali popularności Bridget w polskich księgarniach jak grzyby po deszczu pojawiały się podobne babskie dzienniki. Nie mogły nie trafić pod genderową lupę.

– Pierwsza książka z tego gatunku w Polsce to „Nigdy w życiu!” Katarzyny Grocholi – mówi dr Mrozik. – Grochola zastrzegła co prawda, że to nie jest

Organizacje kobiece obejmują nad wydarzeniami „matronat”, a nie patronat. Zamiast „nie daj Bóg” genderystki powiedzą „nie daj Bogini”. Bo niby dlaczego Bóg ma być mężczyzną?

żadna odpowiedź na książkę Fielding, ale pewne analogie między nimi da się zauważyć. Wkrótce rynek zaczęły zasypywać podobne publikacje innych autorek. Była Izabela Sowa, autorka owocowej serii: „Smak świeżych malin”, „Cierpkość wiśni”, coś tam jeszcze z jabłkiem było. Kolejna autorka to Monika Szwaia, która wydała kilka książek... Mam nadzieję, że znają państwo książkę Grocholi, mimo moich zastrzeżeń z pierwszych zajęć, że to zła literatura.

Część osób Grocholę czytała, kilka oglądało adaptację filmową powieści. Niektórzy zainwestowali.

– W biedronce kupiłem ją za 9,99 zł – chwali się pan psychiatra, wzbudzając rozbawienie zgromadzonych.

Kim jest Bridget Jones w polskiej odsłonie? Fabułę referuje jedna ze studentek. W wersji Grocholi to 37-letnia Judyta. Jest matką kilkunastoletniej dziewczyny,

osobą „udomowioną”. Rozwodzi się, bo mąż ją zdradził. W dodatku teraz „eks” chce, żeby wyprowadziła się z ich wspólnego mieszkania. Judyta decyduje się na postawienie domu na wsi, „wije nowe gniazdo”.

– Buduje dom blisko natury, ma koty, inwestuje w siebie – wylicza referentka.

– Ale jak? Poszła na studia podyplomowe? – pada pytanie z sali.

– Zaczyna o siebie dbać. Kosmetyczka, fryzjer, te sprawy – odpowiada referentka, a jej słowom towarzyszą salwy śmiechu.

Grupa szybko dochodzi do wniosku, że między Judytą a Bridget jest przepaść. „Udomowionej” Judycie matce daleko do niezależnej singielki Bridget Jones pragnącej odnaleźć siebie, inwestującej we własną karierę i przeżywającej miłosne perypetie. Judyta zamiast tego „wije gniazdo”, zmienia się, wykonuje pracę nad sobą, swoim charakterem oraz wizerunkiem i dopiero wtedy pojawia się w jej życiu nowy, idealny w jej mniemaniu mężczyzna.

Jak się dowiadujemy, bohaterka książki Fielding nie jest odosobnionym przykładem. Chodzi tu o lansowany na Zachodzie typ kobiecości XXI wieku. Reprezentują go także bohaterka amerykańskiego serialu „Ally McBeal” czy Carrie Bradshaw, postać z serialu „Seks w wielkim mieście”.

– Kobieta XXI wieku to około 30-letnia singielka z dużego miasta, biała, z klasy średniej albo wyższej klasy średniej – wylicza dr Mrozik. – Zwykle jest zakochana, poszukująca mężczyzny albo przeżywająca nieszczęśliwe rozstanie, otwarcie opowiadająca o seksie, niemająca ograniczeń, żeby z nim eksperymentować, żeby doznawać i szukać przyjemności. To wszystko mieści się w tak zwanej formule „zachodniej Bridget Jones”.

Nic więc dziwnego, że Judyta, zależna finansowo od męża, a potem budująca nowy dom na wsi i racząca czytelników komentarzami w stylu: „Ale przecież ja się nie boję seksu. Nie używam go po prostu”, na tle postaci z Zachodu wygląda blade,



niczym z zaścianka. Wiocha po prostu! W dodatku ma lekceważący stosunek do feminizmu. Nie to co Bridget Jones. Ta, gdy wyrzuca poradniki, które ma na półce, zostawia sobie tylko jedną książkę, feministyczną lekturę – „Reakcję” („Backlash”) Susan Faludi.

– Kiedy Mark Darcy, w którym się zakocha, pyta ją, czy zna inne książki poza poradnikami, ona odpowiada: znam „Backlash” Susan Faludi. Carrie Bradshaw z przyjaciółkami używają co jakiś czas sformułowania: „Jak by powiedziały feministki”. Trudno powiedzieć, czy one same czują się feministkami czy postfeministkami, ale mają świadomość istnienia pewnego kontekstu – wyjaśnia z powagą dr Mrozik.

A Judyta Grocholi? Cóż, świadomości żadnej nie ma. Tu studentka przywołuje fragment „Nigdy w życiu!” o feministce: „Zadzwonil dzwonek. O, proszę! Feministka do mnie wpadła. Feministka jest pełna jadu, mocno podlanego intelektualizmem. Ona dużo czyta, dużo wie, w racjonalizowaniu bije na głowę znanych mi mężczyzn (oraz niektóre kobiety). A mimo to popołudnie byłoby udane i miłe”.

Prowadząca sugeruje, że autorki polskich babskich powieści z rozmysłem obśmiewają feminizm.

Ale wcale nie to jest najgorsze. Polskie odpowiedniczki Bridget Jones utrwalają stereotypy na temat kobiet. Bo oto Grochola konstruuje bohaterkę, która jest ciepłą kobietą gotującą krupnik i nawet feministkę nim częstuje. W dodatku konieczne pcha się do roli posługaczki. Kiedy siedzi przy stole z feministką, do domu wraca mężczyzna jej marzeń, ten sam, z którym w ostatniej scenie odjeżdża na rumaku. – Widzi, że ona ma gościa, więc mówi, że sam sobie odgrzeje krupnik. A co ona robi? Wstaje, żeby mu ten krupnik odgrzać! – denerwuje się studentka. I dorzuca szczerze oburzona zachowaniem bohaterki Grocholi: – Feministka się na nią dziwnie patrzy, ale ona tak go kocha, że po prostu musi mu ten krupnik odgrzać.

Zupa Judyty podniosła temperaturę dyskusji na sali. Krupnik rzekomo pokazuje, czym kończy się wejście w rolę typowej matki Polki, w którą wtłacza polskie kobiety kultura. Jest symbolem frustracji, kryzysu, jaki przeżywają Polki. – Co się dzieje z matką Polką, kiedy jej gniazdo popada w ruinę? Musi się stać nowoczesną kobietą, nie ma już przestrzeni

rodziny, nie ma piskląt do wychowania, nie ma faceta. To kogo ona ma opłakiwać? Komu ma te krupniki gotować? – pyta z energią teatrolożka.

– Musi przekształcić się z kuchty, z kopciucha w nowoczesną przedsiębiorczą kobietę, z jednym zastrzeżeniem. Ona tych krupników nie może przestać gotować, nie może zostać feministką – ubolewa dr Mrozik.

– Bo wtedy nie znalazłaby faceta! Teraz musi jednocześnie jako nowoczesna kobieta pójść do pracy, podmalować się, więc gniazdo, znaleźć nowego faceta i dalej gotować sobie krupniczki. W Polsce właśnie tak jest – równocześnie jesteśmy nowoczesne i wijemy gniazdo. W kulturze anglosaskiej nie ma matki Polki, tamte kobiety to singielki, kobiety wyzwolone – wyłuszcza teatrolożka.

– U nas nie mówi się o singielkach, mówi się o kobietach samotnych – poprawia przedmówczynię koleżanka.

LIST DO WŁASNEJ WAGINY

Jeśli komuś nie odpowiada klimat poważnych debat i długich wykładów, to genderu może zaznać, wybierając różnego rodzaju propozycje artystyczne i rozrywkowe, gdzie ów gender zobaczy nie tylko w teorii, ale także w praktyce. Jakie są propozycje? Całą ich gamę ma wspomniany już festiwal Rewolucje Kobiet. Obok zajęć z samoobrony dla kobiet jest coś dla tych, którym bliskie są sztuki plastyczne. Organizatorzy proponują na przykład warsztaty ceramiczne. „Gлина, materiał, którym posłużył się Bóg, by stworzyć człowieka... Spróbujmy odnaleźć w sobie stwórcę i weźmy sprawy w swoje ręce. Tematem spotkania i lepienia jest »Edukacja równościowa«”. Można też wziąć udział w warsztatach komiksowych zatytułowanych „Czy widział ktoś gender”? – zajęcia, jak napisano w informatorze, są przeznaczone dla dziewczyn, które niekoniecznie muszą super rysować, oraz dla chłopaków, którzy czują się dziewczynami.

Podczas wielu genderowych imprez eksploatowany jest temat seksu i seksualności. W świetle gender to dziedzina obciążona wieloma stereotypami nie tylko związanymi z rolą kobiet i mężczyzn w sferze seksualnej, ale także dotyczącymi orientacji seksualnej, wpływu kultury na nasze zachowania. Gender chce mieć też coś do powiedzenia w sprawie takich zagadnień jak dziewictwo. Badaczki feministki nazywają je konstruktem kulturowym i twierdzą, że jest rzekomo naszą kulturową obsesją.

■ Rewolucje Kobiet w temacie seksu zaproponowały między innymi warsztaty tantry dla kobiet kochających kobiety, czyli lesbijek i kobiet biseksualnych.

Szybko skończyły się miejsca na spotkanie zatytułowane „Kobieta sexy czy seksualna?”. O tym, co będzie przedmiotem tej pogadanki, czytamy w programie: „Czym się różni proste bycie sexy od bycia kobietą seksualną? Seksualność jest naszą własnością, same możemy nią rozporządzać. O ile zdajemy sobie sprawę, że możemy”. Prowadzącą to wydarzenie jest znana w środowiskach feministycznych Voca Ilnicka, przedstawiana jako edukatorka w dziedzinie seksualności, redaktorka serwisu internetowego Seksualność-Kobiet.pl. Poza prowadzeniem swojego portalu organizuje komercyjne warsztaty dotyczące waginy i seksu w ogóle. Wachlarz propozycji jest dość szeroki: „Sex-porządki, czyli przekonania o seksie i związkach”, „Moja seksualność, moja kobiecość”, „Rozmawiam o seksualności”, „Kocham swoją waginę!”. O czym jest mowa i co się dzieje na warsztatach? Pani Voca wszystko szczegółowo opisuje na swojej stronie.

„My, w Polsce, bardzo często seksualność odkrywamy dopiero »po ślubie«, czyli dopiero, kiedy w naszym życiu pojawi się mężczyzna. Wtedy nagle dajemy sobie prawo do tego, aby odczuwać pożądanie i cieszyć się ciałem” – ubolewa edukatorka i dodaje: „Ale czy bez mężczyzny u boku nie jesteśmy kobietami? Jesteśmy. Jako singielki, rozwódki i wdowy także jesteśmy seksualne, a nasza vagina nie wyjeżdża na długie wakacje, aby powrócić dopiero wraz z pojawieniem się kolejnego mężczyzny. Warto zdać sobie z tego sprawę – jesteśmy kobiece i seksualne same w sobie”.

Pani Voca wyjaśnia też, dlaczego prowadzone przez nią zajęcia są tylko dla pań. Jednym z argumentów jest to, że kobiety łączą podobne doświadczenia. „To nam rosną piersi, to my miesiaczkujemy, rodzimy dzieci, przeżywamy »pierwszy raz«, to my, kobiety, słyszymy, że dziewczynkom tysiąc rzeczy nie wypada i nie powinnyśmy się interesować seksem” – tłumaczy niczym na wykładzie gender studies.

Na zajęciach uczestnicy mają „zmierzyć się z waginalnym tabu” i przełamać, rzecz jasna, stereotypy dotyczące „świętej joni”.

Przełamywanie stereotypów na temat waginy na warsztatach zaczyna się od podawania rąk i wymieniania imion oraz prezentacji prowadzącej. Po krótkiej integracji czas na konkrety. Na pierwszy ogień idzie projekcja slajdów przedsta-

wiających genitalia. Pani Voca podkreśla, że niektóre uczestniczki „po raz pierwszy widzą cipki innych kobiet”. „Dlaczego? Pewnie dlatego, że wiele z nas ma utrwalaiony pogląd, że nagie kobiece genitalia to pornografia. I w związku z tym nie wypada innej kobiecie patrzeć między nogi” – wnioskuje z żalem.

Po tej specyficznej projekcji uczestniczki mają dokonać refleksji nad własną waginą. Tak, tak, to nie żart. Odpowiadają na pytania, czy o niej myślą, co myślą, co o niej sądzą i co do niej czują. Pani Voca twierdzi, że zazwyczaj dziewczynom aż „dymi się spod długopisów”, tyle mają waginalnych refleksji. „Bo o waginach można pisać i pisać” – przekonuje.

Kolejny punkt warsztatów to rozmowa o „przekonaniach na temat kobiecych genitaliów”. „Jakie powinny być nasze cipki? Zawsze mokre i chętne, wygolone i gotowe. Trzeba bronić do nich dostępu. Lub właśnie bezwzględnie trzeba je udostępniać zainteresowanym” – można przeczytać w opisie zadania.

Uczestniczki warsztatów mają dokonać refleksji nad własną waginą. Odpowiadają na pytania, czy o niej myślą i co myślą. Pani Voca twierdzi, że zazwyczaj dziewczynom „dymi się spod długopisów”

Punktem obowiązkowym szkolenia jest wybieranie najgorszych i najlepszych nazw dla swoich genitaliów. „Wykrzywiają nam się twarze i usta, gdy padają takie określenia jak »pizda«, »dziursko« czy »pęknięty jeź«. Opowiadamy o tym, jakie słowa nigdy by nam nie przeszły przez usta, i poznajemy tuzin nowych”.

Następne zadanie nosi nazwę „pokoloruj pochwę”, a trenerka wyjaśnia, że chodzi oczywiście nie o własną, ale taką na obrazku, który przedstawia schemat kobiecych genitaliów. Ma to skłonić między innymi do refleksji nad tym, „jak głęboko sięgają odnogi łechtaczki”.

Dalsze punkty programu zależą od tego, czy wystarczy na nie czasu. Może być to słów kilka o waginie w sztuce i kulturze, a nawet w Kościele, i oglądanie „gadżetów waginalnych”, takich jak sikawki, kubeczki menstruacyjne, bawełniane podpaski i tampony, kulki gejszy,

dilda, masażery i wibratory – wylicza te różności pani Voca.

Jeśli ktoś myśli, że takie warsztaty to zupełna nisza, to nie ma racji. Pani Voca swoją wiedzę dzieliła się w artykułach dla portalu Gazeta.pl, o warsztatach opowiadała nie tylko w obszernym wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”, ale także w telewizji publicznej. Była gościem programu „Pytanie na śniadanie”. Towarzyszyła jej Anna Grodzka, transseksualna posłanka, która to zachęciła ją do zorganizowania takiego warsztatu. Razem oglądały filmy z warsztatów Betty Dodson („Takich, na których uczestniczki siedzą nago i tak! masturbują się” – napisała o nich pani Voca na swojej stronie) i postanowiły zrobić podobne nad Wisłą.

– Jakby pani do nas przyszła i to zobaczyła, toby pani pomyślała, że to szkoła niedzielna, a ludzie wyobrażają sobie nie wiadomo co. Tak naprawdę wystarczy nam otwarta rozmowa w atmosferze życzliwości i szczerości – tłumaczyła prowadzącą program, jak wyglądają jej warsztaty.

W „Wysokich Obcasach” mówiła z kolei, że na zajęciach zdarza się trening z lusterkiem, ale to zabawa dla doświadczonych uczestniczek. „Przychodzą dziewczyny na jeden warsztat, drugi i mówią: »Słuchaj, na trzecim się rozbiemy. Koniec kropka«. Sama uczestniczyłam w warsztacie, na którym się rozbierałyśmy. Taka praca jest już bardziej czuciowa, percepcyjna. Na moich warsztatach poruszamy się jednak w sferze intelektualnej: stereotyp, sztuka, kultura. To bezpieczniejsze. Taki z lusterkiem mógłby być mniej bezpieczny. Chociaż myślę, że każdej nastolatce by się to przydało, żeby usiąść z lusterkiem i wszystko tam obejrzeć. Są kultury, w których stara kobieta siada z młodą i mówi: »Tu sobie zobacz, masz to i to«. I wtedy wszystko staje się jasne. Niektóre Polki są na to gotowe. Ale czasem mam wrażenie, że idzie to tak szybko. Przychodzi na warsztat kobieta i na pytanie: »Jakie jest twoje ulubione słowo na narządy kobiece?«, cichutko odpowiada: »Nie mam«. A wychodzi i krzyczy: »Siła cipki!«. Zaraz chce więcej”.

Tekst pochodzi z książki „Raport o gender w Polsce”, która ukaże się 27 października. Za tydzień opublikujemy jeszcze jeden jej fragment.



AGNIESZKA NIEWIŃSKA SPOTKA SIĘ Z CZYTELNIKAMI „DO RZECZY” NA PROFILU NASZEGO TYGODNIKA NA FACEBOOKU WE WTOREK 21 PAŹDZIERNIKA O GODZ. 15: WWW.FACEBOOK.COM/TYGODNIKDORZECZY